

Nr. 9
LUTEGO 1938 R.
CENA 40 GROSZY

MASKARADZIE

Węgierka i ognisty gaucho



PÊLE MÊLE EWY.



Powinienem zacząć od toalet. O nowej linji, o tem, że zapowiadają panowanie czerwonego koloru w najrozmaitszych odcieniach, ale... dla kogo właściwie kobiety się ubierają? Czy dla mężczyzn?

Więc? A no chyba ubierają się dla przyjaciółek. Zresztą nie to jest ważne, lecz to, jakie wrażenie robi całość. I właśnie à propos całości muszę donieść, że rewolucjonujące wieści dochodzą zza oceanu: przeżył się już sex appeal, a hasłem dnia ma być (aż do odwołania) Glamourous Girl. Trudno to przetłumaczyć, ma to oznaczać coś bardzej naturalnego, coś jak wiedeńskie „Das süsse Mädel“, lub nasze swojskie „czarująca dziewczyna“. — Warto przypomnieć, że Marlena wróciła do Europy, gdyż popularność jej spadła w USA, widocznie w związku z tym nowym kierunkiem, na 50-te miejsce. — Wogóle powoli wszystkie powojenne pomysły odchodzą do lamusa przejściowych kaprysów. Takiem pierwszem hasłem była zmiana w malowaniu ust.

Srogi nakaz polecał, pod karą zacofaństwa, rysować wargi w sztywny łuk z dwoma pagórkami w środku. Parę lat temu równie stanowczo kazano zarzucić ten rysunek i powrócono do łagodnej linji naturalnego zarysu ust. Potem przyszła kolej na zarzucenie „linji“. Na marginesie tej wiadomości podam, że jakiś amerykański manager urządził niedawno rewję, w której występowały girlaski 80 kg. — Również na wymarciu są jaskrawo lakierowane paznokcie. Skąd ta ostatnia moda się wzięła? Z Ameryki oczywiście. Służba jest tam bardzo droga i większość pań sama prowadzi gospodarstwo. Mimo używania gumowych rękawiczek — 10 ct para — paznokcie jednak niszczą się przy tem i, w tym kłopocie, panie domu znalazły ratunek w lakierowaniu paznokci, z początku dyskretnie, a potem coraz jaskrawiej. Na szczęście najbardziej apodyktyczny dyktator MODA wypowiedziała już swe veto.

Zabawne są czasem mody, powstające z nieporozumienia. Jedno pismo niemieckie na Prima Aprilis, pomiędzy innemi żartami, wyrysowało główki kobiece z 2 malutkiemi kapeluszami po bokach głowy, podając to jako ostatni krzyk mody. Pomysł ten wzięto w Anglji poważnie i przez krótki czas Angielki nosiły po 2 kapelusze na główkach!

Bo też pomysłów nie brakuje! W Paryżu weszła w modę archeologja w dość oryginalnej formie. Oto pani domu fotografuje część swego aktu w pozie jak najbardziej klasycznej. Na tejże kliszy fotografuje się następnie stary popękany mur — przez połączenie obu tych zdjęć otrzymuje się jakby stary, conajmniej pompejański fresk. Muszę przyznać, że to nader interesująco wygląda.

Zwykle pisze się o oryginałach męskich. Bywają i kobiece. Jeden taki niedawno umarł — była to mrs. Brown. Typ nadzwyczajny w swej żywotności! Jako młodziutka panienka — Molly Tobin — wychodzi za poszukiwacza złota Johnny Browna. Z początku bieda aż piszczy. Wkrótce jednak Johnny znajduje złoto, sprzedaje pole za paręset tysięcy dolarów i daje je żonie do przechowania. Sam idzie „oblać“ godnie ten uśmiech szczęścia i czyni to tak dokładnie, że nad ranem Browna przynoszą pianiusieńkiego do domu, kładąc do łóżeczka i, by go ogrzać, palą w piecu. Nad ranem zrozpaczona Molly donosi mężulkowi, że w piecu schowała dolary i że te oczywiście poszły z dymem. Johnny staje na wysokości zadania i pociesza ją conajmniej, jak Wołodyjowski: — Nic to, Molly — znajdę drugie pole! I, comme de raison — rzeczywiście znajduje. Robi się z niego wielki miljoner. Molly i Johnny bawią się szeroko, budują willę z podłogą, wyłożoną srebrnemi dolarami, ale ponieważ dobre towarzystwo nie chce się do nich przekonać, Molly jedzie do Europy. Tam nabiera poloru, uczy się kilku języków i wraca do swego Browna już jako dama. Niedługo znów niesie ją w świat, a John, który zawsze ją kocha, tylko jedno zlecenie daje jej na drogę: „Nie zapominaj o mym banku“! Molly, między innymi, jedzie „Titanikiem“ podczas jego ostatniej drogi. Po najechaniu na górę lodową, ratuje sama kobiety i dzieci i, jako ostatnia, wsiada do łodzi ratunkowej. —





Z rewolwerem w ręku podtrzymuje ducha marynarzy, wreszcie sama wiosłuje w miejsce najbardziej zmęczonego. Zostaje uratowaną. Przechodzi masę przygód na obu półkulach, pożar hotelu, wojnę światową, w której bierze udział i t. d., by wreszcie, syta sławy i przygód, umrzeć.

Mucius Scaevola przeszedł do historji, zresztą słusznie, ale mojem zdaniem, znacznie więcej zasługuje na to ta, o której mało kto wie: Hrabina de Fleydcan. W 1393 r. król francuski oblegał jej zamek. Dzielna załoga broniła się bardzo długo i to tak długo, że król zapałał srogim gniewem i postanowił całą załogę wyciąć w pień. — Hrabina, dowiedziawszy się o tem, obcięła sobie rękę, podeszła do króla, podała mu ją ze słowami: „Zadowolnij się tą krwią — daruj życie innym!“. Król, wzruszony ofiarą najpiękniejszej wówczas kobiety Francji, darował życie mieszkańcom zamku.

Z współczesnych kobiet oddałbym palmę pierwszeństwa tej młodej Japonce, która powinna personifikować miłość ojczyzny po wszystkie czasy. Pewna młoda para w Japonji pobrała się tuż przed wybuchem wojny japońsko-chińskiej. Nowożeniec musiał wyruszyć na front, a młodziutka żona, by mu nie utrudniać wyjazdu i by w polu mógł myśleć tylko o ojczyźnie i śmierci dla niej, popełniła samobójstwo. Czyż nie jest to szczytne!? Takiemu narodowi można wiele wybaczyć.

O innym ciekawym wypadku donoszą gazety z USA. Państwo Stockinger pobrali się w 1922 r. Zaraz po paru miesiącach rozwiedli się. Jak dotąd, nic szczególnego, zdarza się to w najlepszych rodzinach. Ale — co już jest rzadszem — wkrótce znów zeszli się, by potem — sukcesywnie — 6 razy rozwodzić się i znów godzić. Gdy jednak po raz siódmy zameldowali u kadiego, tenże grubo zirytowany, w... prosił ich za drzwi i zagroził, że jak jeszcze raz mu się pokażą na oczy, to ich każe zamknąć w domu warjatów.

Mówią, że romantyzm znikł na... Proszę mi coś podobnego po... bujniejszych czasów trubadu... wystawy, urządzanej w 1940 ... cisco zamyśla wybrukować ... kamieniami, bo... będą one ... dzający refleks na twarze ... Höher gehts nimmer! — ... niec.

A propos kobiecości: star... by kolor sukni dostosowyw... oczu. Dobrze, ale takby się ... naodwrót! I owszem, nic temu nie sto... przeszkodzie, bo z Niemiec donoszą o wyrabianiu tamże cieniutkich szalek ze szkła, dowolnie zabarwionego, które można włożyć pod powiekę, na gałkę oczną i w ten sposób — w pewnych granicach — zmienić sobie ich barwę. Pomysł ten podobny jest do dawniejszego a mającego na celu zrobienie okularów niewidocznemi. Oto takie, ale bezbarwne, odpowiednio szlifowane, szkła proponowano już dość dawno zamiast szkieł, noszonych nazewnątrz.

Czarującą historyjkę wielkomiejską podają węgierskie gazety. W budapeszteńskim tramwaju nieuważnym ruchem bucika, rozdarł jakiś młody człowiek pończoszkę swej sąsiadce. Ta podniosła gwałt i zażądała odszkodowania. — I owszem — rzec... młodzian — płacę ale i wymagam. ... dzie łaskawę natychmiast zdjąć pończo... i oddać mi je. Panienka zawahała się i odmówiła zdjęcia, natomiast upierała się przy odszkodowaniu. Sprawa oparła się o są... sędzia przyznał dowcipnemu rację. R... nierada, dzieweczka musiała zdjąć pończ... chy — coprawda pod opiekuńczem(?) ... kiem sędziego i wydać je amatorowi or... ginalnych pomysłów.

Nie zdajemy sobie sprawy, jaką ... musi dokonać tancerka w czasie występów. Partner angielskiej tancerki Pat Ing... zmierzył pedometrem ilość kroków, wykonywanych przez nią w czasie jednego przedstawienia. Wypadło z tego obliczenia, że w ciągu swych 5-letnich występów, Pat przetańczyła 80,000 km — dwa razy obwód ziemi! Zaimponowało to jej dyrektorowi i w uznaniu czynu, przyznał jej dłuższy urlop oraz podwyżkę gaży.

Mało kto wie, że do 1681 r. w balecie występowali tylko mężczyźni. Dopiero Lully i Beauchamps zainicjowali w operze paryskiej występy kobiet. Uwiecznijmy ich nazwiska: Pesant, Carré, Leclerc i Lafontaine.

Za najbardziej tajemniczy uśmiech kobiecy uchodzi uśmiech Mony Lizy. Tak, ale czy aby napewno wiszący w Louvrze portret jest autentyczny? Dyrekcja twierdzi, że tak, lecz po ukradzeniu obrazu przez Peruggia, wielu ma poważne wątpliwości. Na ich poparcie można przypomnieć, że markiz Valfriarino przed śmiercią,

Dokończenie na str. 31-ej.

kłych. Do tych ostatnich twarz — pokrywa się jednostajnego koloru szminką (broń Boże, tylko żadnych rumieńców!). Ucharakteryzowani artyści wyglądają na bardzo „opalonych". Przy ciemnej szminсe pięknie kontrastują oczy. Usta są pociągnięte również ciemną szminką — wiśniową. Najpierw twarz smaruje się tłuszczem. a później szminką. Na zakończenie poprawia się brwi, gwiazda rodzaju żeńskiego nalepia rzęsy. Rzut oka w lusterko. Uśmiech. Ça va!

A suknia? Te, które wydają się białemi, prawie nigdy takiemi nie są, lecz różowe lub



Na prawo: Wesołe intermezzo w atelier filmowem: Carola Lombard częstuje, zresztą nieco gwałtownie, swego kolegę Freda Mc. Murray'a ciastkami.

Poniżej: Oto jak nakręca się sceny, napełniające widzów grozą: Fragment filmu „Korsarz", reżyserji Cecil B. de Mille.



żółte, gdyż białe rzucają zbyt ostre refleksy.

W filmie kolorowym sprawa się jeszcze więcej komplikuje.

Jeśli aktorka jest zbyt szczupła należy ją ubierać w intensywne barwy, jak: czerwony, pomarańczowy, lila, brązowy, gdyż te kolory wybijają się na pierwszy plan. Jeśli jest zbyt tęga należy ubierać ją w kolory nienarzucające się, jak: niebieski, jasno-fijołkowy, jasno-zielony.

Pierwszym, który zauważył te różnice w filmie kolorowym był Morgan Pandelford, ekspert fotografji kolorowej przy nakręcaniu filmu „Droga w nieznane". Eksperymenty Pandelforda wykazały, przy pomocy zdjęć próbnych, iż złudzenia uzyskane przy zastosowaniu kolorów można wyzyskać przy wyszczupleniu nie tylko całej sylwetki, ale np. zbyt szerokich ramion lub bioder.

Gdy „gwiazda" jest już „zrobioną" i ubraną, lub... rozebraną, zależnie od wymogów scenarjusza, rozlega się głos reżysera: „Na plan". Po wyjaśnieniu, jaką scenę będzie się nagrywało, ostatnie spojrzenie: czy wszystko w porządku, zapalają się jupitery, pomocnik reżysera wysuwa do sfotografowania tabliczkę z kolejnym numerem następującej sceny (numeruje się poszczególne sceny, celem ułatwienia późniejszej pracy przy montażu filmu). Rozpoczynają się zdjęcia, które z reguły trzeba powtarzać, aby usłyszeć wreszcie głos reżysera: „Very well!".

Po wyczerpującej pracy zbliża się upragniona godzina odpoczynku, podczas której artyści udają się do kantyny, by wypić ochładzający napój. Przy jednym stole siada żołnierz rzymski obok wytwornej damy, w rokokowym stroju. — Nieco dalej pan we fraku, dalej dziewczyna wiejska. Można też zauważyć, jak... usiadłszy wprost na podłodze jasnowłosa Carola Lombard, karmi tortem (przed chwilą otrzymanym od wielbiciela) swego partnera Fred Mc Murray'a!



Ray Milland fotografuje w przerwie Oskara Homolkę i Lloyda Nolana.

Na prawo: Marlena Dietrich w „rękach" kinooperatorów.



Zmęczeni aktorzy wychodzą zaczerpnąć świeżego powietrza i wtedy Ray Milland fotografuje swą „leicą" kolegów z filmu: „Droga w Nieznane".

Po przerwie znów nakręcanie filmu. Piekielne gorąco, czego się nie tkniesz, parzy! Meble z drzewa, marmur, mimo, że jupitery zaraz gasną po nakręceniu, są rozgrzane. Artystom pot spływa z twarzy, szminka się rozpuszcza. Na straży czuwa charakteryzator, by naprawić usterki, ciągle krąży z pudrem i lusterkiem.

Pisze się często o histerji gwiazd, ale czyż można się temu dziwić? Nieustanne napięcie nerwów, uciążliwa praca-walka, aby okazać się najlepszą, nie dać się prześcignąć — to usprawiedliwia — cokolwiek — kaprysy artystów. Na tem tle trzeba podziwiać pogodę i humor niezrównanej naszej artystki Mieczysławy Ćwiklińskiej, która mimo wytężonej pracy na scenie i w filmie (p. Ćwiklińska nagrywa często po przedstawieniu teatralnem, w nocy), zawsze jest wesołą i chętną do pracy. Dopiero w swem wyjątkowo pięknem i zacisznem mieszkanku znajduje krótkotrwałe odprężenie i nabiera dalszej podniety do nowej pracy.

A jutro? Znów atelier od wczesnego ranka...

Na zakończenie: Jak przedstawia się strona finansowa filmu? Weźmy za przykład budżet „dużego filmu" pt. „8 żona Sinobrodego" z G. Cooperem i Cl. Colbert, wyprodukowanego kosztem 1,000.000 dolarów. — Z tego: 50% pochłania gaża artystów i reżysera, 20% światło i taśma, 5% scenarjusz, 10% prawa komedji Al. Savoir, 10% robocizna i laboratorjum, 5% reklama.

Krystyna Dienstl-Kaczyńska.

Sowa i jego żona patrzyli na małą parę jakgdyby z pewnem zdumieniem. ‚Czuliśmy się tak — pisze Szara Sowa — jak gdybyśmy złowili dwa białe słonie i nie wiedzieli, co z nimi począć. A naturalnie nie przyszło nam na myśl ani na chwilę, że ich wejście w nasze życie odegra tak wielką rolę".

Małe bobry stały się rzeczywiście punktem zwrotnym w życiu Szarej Sowy. Karmione mlekiem kondensowanem z puszki, szybko przywiązały się do swych opiekunów. Tak ostrożne i bojaźliwe zwierzę, jakim jest bóbr, okazało się idealnym wprost materjałem do oswojenia. Pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem zrodziła się wielka przyjaźń, oparta na dużem zaufaniu. Podrastające bobry biegały za swymi opiekunami jak najwierniejsze pieski, a znikając niekiedy na kilkadziesiąt godzin dla wędrówki po jeziorze i okolicy, wracały, ciesząc się i dając do zrozumienia swą wielką radość z powodu powrotu. Wyczuwały potrzebę pieszczot ze strony swych ludzkich przyjaciół i upominały się o nieustawicznie.

Już dawniej Szara Sowa był przeciwnikiem masowego tępienia bobrów, pochodziło to jednak ze względów czysto ekonomicznych. Widział znikanie tego zwierzęcia zwłaszcza, gdy w jednej ze swych wędrówek z Ontario do Quebecu na przestrzeni 4500 km napotkał zaledwie w dwunastu miejscach ślady bobrów, a były to obszary mogące wyżywić dziesiątki tysięcy bobrów. Obecnie inaczej zaczął na nie patrzeć. Te zwierzęta przeżywały uczucia i potrafiły je wyrażać: umiały poprostu mówić, wiedziały. co to jest przywiązanie, szczęście, czy samotność i smutek z drugiej strony. Tacy mali ludzie! Szarej Sowie przypomniały się młode lata, spędzone wśród Indjan. którzy takiem poszanowaniem otaczali bobry, nazywając je nawet „bobrzym ludkiem", „małymi Indjanami", czy „gadatliwymi braćmi" Coraz głębiej zaczął odczuwać dawny traper, który sam wiele bobrów miał na sumieniu, niegodziwość łowienia tych zwierząt. Szczególnie niegodziwem było wprowadzenie pułapki sprężynowej, raniącej ciężko schwytanego bobra i skazującej go na śmierć w postawie wiszącej.

Te wszystkie rozmyślania sprawiły, że bobry przestały wydawać się Sazrej Sowie legalnym łupem ludzkim, zaczął natomiast dostrzegać w nich współmieszkańców puszczy.

Bobry również kochały puszczę i walczyły o nią; puszcza była ich ojczyzną. Przez całe swe życie związany z puszczą i jej życiem poczuł się nagle Grey Owl jakgdyby towarzyszem broni małych bobrów i dalsze współdziałanie z ich prześladowcami wydawało mu się jakgdyby zdradą. Zabijanie tych zwierząt stało się dla Szarej Sowy niemożliwością Przeciwnie, postanowił ująć się za ginącem zwierzęciem. „Wydałem się sobie samemu — pisze Szara Sowa — w „Piegrzymach puszczy" — renegatem, który pomaga nieprzyjacielowi w tępieniu bezbronnych rodaków. Zrozumiałem, że o wiele słuszniej postąpię, jeżeli dążyć będę do stałego pokoju między wszystkimi stałymi mieszkańcami puszczy i połączę swój los z ich losem we wspólnej walce z niegodziwym przeciwnikiem, uciekającym się do tak nikczemnych metod walki. W dotychczasowym stanie rzeczy wyczuwałem coś głęboko niesłusznego i niesprawiedliwego".

Potomek ginącej rasy ludzkiej o indyjskiej krwi płynącej w żyłach — posiadał gorące serce. Działalność swą rozpoczął od skromnych odczytów w małych osiedlach i od niewielkich artykułów. Bezpośredniość i głębokie odczucie z jakiem ten człowiek tak nierozerwalnie związany z puszczą ujmował swe tematy, zaczęły wywoływać coraz większe wrażenie. W niedługim czasie Szara Sowa przyjął propozycję angielskiego wydawcy i pisze książkę, która otwiera mu drogę do dalszej działalności literackiej i rozgłosu. Sam nie oddala się od ukochanej puszczy, lecz zamieszkuje zdala od osiedli ludzkich, by móc obserwować życie swych ulubionych współbraci, którzy odczuwają w nim kogoś bliskiego i darzą go pełnem swem zaufaniem. Z całej Kanady zaczynają zjeżdżać się przyrodnicy do czarodziejametysa, który w nasze czasy przeniósł wizję Wielkiego Przyjaciela zwierząt z Assyżu. Film z życia bobrów, zdjęty dzięki współpracy Szarej Sowy i wyświetlany w setkach miast i miasteczek, w uniwersytetach i po szkołach, wywołał niezmierne wrażenie. Ginące bobry puszczy kanadyjskiej i ich żarliwy opiekun zwróciły na siebie uwagę całej Kanady.

Zagadnieniem ochrony bobrów zajął się wreszcie i rząd kanadyjski i wprowadził przepisy ochronne, aby bobrzy ludek zabezpieczyć przed prześladowaniem człowieka. Do służby tej powołano w pierwszym rzędzie Szarą Sowę, bo nikt tak, jak on, nie zna tajników puszczy kanadyjskiej.

Dr. K. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Problem międzynarodowej wymiany znaczków już oddawna zajmuje filatelistów całego świata i prawdopodobnie tylko z tego powodu napotyka na trudności, że kupcy, którzy żyją ze swej pracy, polegającej na dostarczaniu egzemplarzy poszukiwanych przez zbieraczy, utrudniają wymianę amatorom.

Można jednak znaleźć punkt wyjścia, byle tylko znalazł się ktoś energiczny i umiał wyszukać sobie odpowiednich partnerów. A warto naprawdę postarać się o to, bo obecnie przy ograniczeniach dewizowych nie sposób uzupełnić sobie zbiory specjalne. Prywatnie nie można przecież znaleźć partnera, który dałby właśnie za polskie nowości stare angielskie znaczki niestemplowane, a jeśli np. ktoś chce się pozbyć egzemplarza wartości nominalnej 5 funtów, to gdzie może znaleźć t. zw. „90-kę Poczta Polska", by ją dostać we wymianie?

Rzecz zupełnie zrozumiała, że transakcje rarytasami o wartości około stu złotych, muszą być przedsiębrane bardzo ostrożnie, dlatego też mówmy raczej o sztukach przeciętnych, które dla nas mają niewielką wartość, a zato w Australji cenione są na wagę powiedzmy np. srebra.

Organizacja owej „S. I. É. T." (Société Internationale d'echangistes de Timbres-poste) przedstawiać się powinna następująco: W Paryżu np. istnieje komitet główny, który tylko rejestruje zgłoszenia organizacji w poszczególnych krajach i przeprowadza kontrolę w razie jakichkolwiek nadużyć. Składki członkowskie, o minimalnej wysokości zresztą, wynoszące jednak w sumie pokaźną kwotę, służyłyby na wydawanie miesięcznika, który zawierałby adresy wszystkich filij wielkiego związku, zmiany dawnych adresów i ewentualnie płatne ogłoszenia poszukujących we wymianie specjalności.

Dotychczasowe związki zbieraczy nie dawały żadnej gwarancji czy dany zeszycik będzie zwrócony w stanie należytym i czy za egzemplarze wybrane otrzyma właściciel odpowiednie sztuki we wymianie. Przy oficjalnej organizacji sprawa przedstawiałaby się bezporównania lepiej, gdyż wtedy jeden oddział związku polskiego np. w Bielsku, wysyłałby wybór do oddziału związku francuskiego w Lille, tam zaś rewanżowanoby się odpowiednią przesyłką. Uzgodnienie sald natrafiałoby rzecz prosta na liczne trudności, ale ponieważ my filateliści posiadamy naszą własną walutę o szerszym zasięgu niż dolar czy funt, a mianowicie markę Michla i frank Yverta, więc obroty czynione tutaj dałoby się łatwo uzgodnić zależnie od porozumienia między kontrahentami.

Przy jakiejkolwiek malwersacji ze strony kierownika wymiany jednej z filij „S. I. E. T.", której dałoby się uniknąć przez wybieranie na to stanowisko tylko osób finansowo odpowiedzialnych — musiałby wyrównać zaległość związek zbieraczy całego państwa.

Przypuszczamy, że Czytelnicy „Asa" zainteresują się naszym projektem i chętnie zamieścimy uwagi i pomysły na ten temat.

Projekt wyżej podany naszkicowany zresztą tylko zgrubsza, jest dzisiaj tylko mrzonką, trudniejsze jednak przedsięwzięcia zdołali zrealizować ludzie energiczni.

Witold Horain.

* * *

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPAN ALOJZY W., KRAKÓW-RAKOWICE. Radzimy zgłosić się pod pow. adresem.

WPAN ALEKSANDER SZYMANSKI, ŁAŃCUT. W drodze wyjątku udzielimy odpowiedzi listownie, na przesłanej nam pocztówce.

»SZARA SOWA«

PRZYJACIEL BOBRÓW

Jednem z najbogatszych i najpotężniejszych dominjów korony angielskiej jest Kanada. Podstawę życia gospodarczego Kanady stanowiło oddawna rolnictwo, które osiągnęło wysoki stopień rozwoju. Na całym świecie znana jest pszenica kanadyjska, której produkcja przekroczyła w ostatnich latach 1/3 produkcji światowej. Dużą rolę odgrywa również gospodarka leśna i przemysł drzewny. Dzięki wielkim bogactwom kopalnym powstał i rozwinął się duży przemysł górniczy.

Obok jednak wielkich ośrodków przemysłowych i nowoczesnych miast z drapaczami chmur większość tego kraju — to mało zaludnione obszary — tundry, prerji i lasów dziewiczych, znanych ze swej piękności i pierwotnego charakteru. Każdy rok przynosi zmniejszanie się tych dziewiczych obszarów.

A jednak dalej istnieją olbrzymie puszcze leśne, ciągnące się setkami kilometrów z nietkniętym światem roślinnym, stanowiące prawdziwe eldorado dla myśliwego. Nie można bowiem zapominać o tem, że obszar Kanady, wynoszący około 10 miljonów km², a więc tyle niemal, ile cała Europa, posiada tylko 10 miljonów mieszkańców.

Najwięcej może odczuły napastliwość człowieka bobry, tak ściśle związane z przyrodą Kanady, że ich wizerunek widnieje na emblematach tego kraju, jak i na pierwszym znaczku pocztowym. Te niezwykle ciekawe zwierzęta odznaczające się prawdziwą inteligencją, znakomicie potrafiły uchronić się przed wieloma nieprzyjaciółmi, jacy czyhać na nie mogli w puszczy kanadyjskiej, a przedewszystkiem przed niedźwiedziami, wilkami, lisami czy rosomakami. Żyły swem własnem życiem i nie wchodziły nikomu w drogę. W rzekach i jeziorach, w które tak obfituje Kanada, żyły bobry w setkach tysięcy, tworząc kolonje i budując swe pomysłowe domostwa, zwane gonami. Ci znakomici czworonożni architekci i inżynierowie budowali tamy i kanały, regulujące poziom wód. W żmudną swą pracę wkładały bobry wiele przemyślności i rozwagi, jakiej nie spotyka się u innych zwierząt. Od wieków obserwowali je i podziwiali ich pracę Indjanie, otaczając je opieką i uważając zabicie bobra za zbrodnię.

Dla zdobycia cennego futra rozpoczęły się jednak polowania. Setki myśliwych wyruszyły w odległe lasy dla poszukiwań kolonji bobrów i zakładania pułapek, zmuszając do współpracy i Indjan. Nie zaznały teraz spokoju biedne bobry, a ilość ich skórek, wywożonych rokrocznie do krajów Europy dochodziła, a nieraz przekraczała cyfrę pół miljona. Było to za wiele nawet na bogatą przyrodę Kanady. Bobry kanadyjskie zaczęły stawać się rzadkością.

Bobry kanadyjskie znalazły ocalenie w niedostępności znacznych jeszcze obszarów leśnych, dopiero ostatnie lata przyniosły ich ochronę ze strony dotychczasowego największego wroga — człowieka. Zrozumiano wreszcie, że dotychczasowy stan musi przynieść wcześniej czy później zupełną zagładę tego mieszkańca rzek i jezior, podobnie, jak to stało się dawniej w większości krajów europejskich. Największym przyjacielem „ludu bobrzego“ i jednym z inicjatorów wzięcia tego mądrego zwierzęcia pod opiekę i ochronę stał się przedziwny człowiek, którego przezwanie Grey Owl — szara sowa — rozeszło się z niedostępnej puszczy kanadyjskiej i nie tylko po całej Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, lecz dotarło również i do reszty świata.



Na prawo: „Szara Sowa“ ze swym oswojonym bobrem, który towarzyszył mu w jego wyprawach po rzekach Kanady.



Sztuczna tama, zbudowana przez bobry celem ochrony ich mieszkań przed zbyt silnym prądem rzeki.

Gdy przed dwoma laty znany polski podróżnik i autor pięknych książek przyrodniczych, Arkady Fiedler, zwiedzał Kanadę, natychmiast zetknął się z nazwiskiem Szarej Sowy i usłyszał w Montrealu, że jest to niewątpliwie najpopularniejszy autor i najciekawszy człowiek w Kanadzie. Książki jego, tchnące pierwotnym oddechem puszczy i pełne zapachu żywicy prastarych drzew, stały się prawdziwą rewelacją i zyskały olbrzymią popularność. Gdy jedna z najpiękniejszych jego książek „Pilgrims of the Wild“ ukazała się przed niespełna trzema laty na rynku księgarskim w Anglji, z takiem spotkała się uznaniem, że jeszcze tego samego roku ukazało się dalszych sześć jej wydań. Ostatnio „Pielgrzymi puszczy“ Szarej Sowy znaleźli się i w Polsce, dając możność polskiemu czytelnikowi poznania bliżej przyrody z nad jezior kanadyjskich.

Szara Sowa urodził się w r. 1888 z matki Indjanki ze szczepu Apalachów, a z ojca Szkota. Poza krótkim pobytem w Anglji całe niemal swe życie spędził wśród ukochanej przyrody Ameryki północnej. Już od młodych lat Szara Sowa przebywał wśród Indjan, polując z nimi i ucząc się od nich życia w puszczy. Ojciec jego pracował jako wywiadowca w jednym z fortów w stanie Wyoming pod wodzą sławnego pułkownika Cody'ego, znanego bardziej pod nazwiskiem Buffalo Bill. Był to okres krwawych walk z Indjanami, którzy zacięcie bronili swej wolności i praw do życia, musieli jednak ustąpić przed wzrastającą przewagą „bladych twarzy“. Bezwzględność metod stosowana wobec dawnych mieszkańców puszcz i preryj północno-amerykańskich skłoniła ojca Grey-Owl'a do zrezygnowania ze służby.

W kole: Dorosły bóbr potrafi przegryźć swemi potężnemi szczękami młode drzewko w przeciągu kilku minut.



Młodego syna ciągnie głos puszczy. Czuje się on tu lepiej niż wśród cywilizacji, z którą zetknął się, uczęszczając do szkół białych. Przystaje do indyjskiego szczepu Ojibwayów i zostaje przez nich adoptowany; stąd jego nazwisko indyjskie, niełatwe do zapamiętania: Wa-Sha--Quon-Asin, tj. właśnie Szara Sowa — Grey Owl. Poznaje tu młodą Indjankę Anahareo, która staje się wierną towarzyską jego życia. Razem rozpoczynają niekończącą się wędrówkę.

Grey Owl kolejno jest myśliwym-traperem, przewodnikiem, leśniczym, a nawet poszukiwaczem srebra. Dopiero wielka wojna wyciąga go z serca Kanady. Powołany do służby wojskowej jedzie do Francji, gdzie na froncie zostaje dwukrotnie ranny, poczem dopiero w r. 1917 wraca do ulubionych lasów swej ojczyzny, za którymi tak tęsknił.

Wśród łowców kanadyjskich wybija się na pierwsze miejsce i w pogoni za zwierzyną i futerkami zapędza się na dalekie wędrówki w Ontario i Quebecu.

Grey Owl zawsze przestrzegał niepisanych praw myśliwego puszcz kanadyjskich o wielowiekowej tradycji. Tylko wyjątkowo ciężkie warunki, związane z wielkim spadkiem cen skórek spowodowały, że musiał pewnego razu wyruszyć na łowy wiosenne, co było nieraz niezgodne z jego zasadami, ponieważ, jak większość lepszych myśliwych, uważał polowanie w tej porze roku za okrutne i szkodliwe dla zwierzostanu.

Przypadek zdarzył, że płynąc po jeziorze i poszukując jednego z bobrów, któremu udało się wymknąć z pułapki, Grey Owl zobaczył płynącą parę młodych bobrzątek, wydających żałosne głosy. Podniesioną już strzelbę, gotową do strzału opuścił i po krótkiej chwili namysłu zdecydował się darować im życia i zająć się ich losem.

Schwytane bobry z wielką godnością spacerowały po łodzi. Wyglądały bardzo zabawnie z delikatnym futerkiem, gołemi ogonkami i silnie rozwiniętemi tylnemi odnóżami Razem ważyły niecały funt. Szara

Sowa i jego żona patrzyli na małą parę jakgdyby z pewnem zdumieniem. ‚Czuliśmy się tak — pisze Szara Sowa — jak gdybyśmy złowili dwa białe słonie i nie wiedzieli, co z nimi począć. A naturalnie nie przyszło nam na myśl ani na chwilę, że ich wejście w nasze życie odegra tak wielką rolę".

Małe bobry stały się rzeczywiście punktem zwrotnym w życiu Szarej Sowy. Karmione mlekiem kondensowanem z puszki, szybko przywiązały się do swych opiekunów. Tak ostrożne i bojaźliwe zwierzę, jakim jest bóbr, okazało się idealnym wprost materjałem do oswojenia. Pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem zrodziła się wielka przyjaźń, oparta na dużem zaufaniu. Podrastające bobry biegały za swymi opiekunami jak najwierniejsze pieski, a znikając niekiedy na kilkadziesiąt godzin dla wędrówki po jeziorze i okolicy, wracały, cieszac się i dając do zrozumienia swą wielką radość z powodu powrotu. Wyczuwały potrzebę pieszczot ze strony swych ludzkich przyjaciół i upominały się o nieustawicznie.

Już dawniej Szara Sowa był przeciwnikiem masowego tępienia bobrów, pochodziło to jednak ze względów czysto ekonomicznych. Widział znikanie tego zwierzęcia zwłaszcza, gdy w jednej ze swych wędrówek z Ontario do Quebecu na przestrzeni 4500 km napotkał zaledwie w dwunastu miejscach ślady bobrów, a były to obszary mogące wyżywić dziesiątki tysięcy bobrów. Obecnie inaczej zaczął na nie patrzeć. Te zwierzęta przeżywały uczucia i potrafiły je wyrażać: umiały poprostu mówić, wiedziały. co to jest przywiązanie, szczęście, czy samotność i smutek z drugiej strony. Tacy mali ludzie! Szarej Sowie przypomniały się młode lata, spędzone wśród Indjan. którzy takiem poszanowaniem otaczali bobry, nazywając je nawet „bobrzym ludkiem", „małymi Indjanami", czy „gadatliwymi braćmi"

Coraz głębiej zaczął odczuwać dawny traper, który sam wiele bobrów miał na sumieniu, niegodziwość łowienia tych zwierząt. Szczególnie niegodziwem było wprowadzenie pułapki sprężynowej, raniącej ciężko schwytanego bobra i skazującej go na śmierć w postawie wiszącej.

Te wszystkie rozmyślania sprawiły, że bobry przestały wydawać się Sazrej Sowie legalnym łupem ludzkim, zaczął natomiast dostrzegać w nich współmieszkańców puszczy.

Bobry również kochały puszczę i walczyły o nią; puszcza była ich ojczyzną. Przez całe swe życie związany z puszczą i jej życiem poczuł się nagle Grey Owl jakgdyby towarzyszem broni małych bobrów i dalsze współdziałanie z ich prześladowcami wydawało mu się jakgdyby zdradą. Zabijanie tych zwierząt stało się dla Szarej Sowy niemożliwością. Przeciwnie, postanowił ująć się za ginącem zwierzęciem. „Wydałem się sobie samemu — pisze Szara Sowa — w „Piegrzymach puszczy" — renegatem, który pomaga nieprzyjacielowi w tępieniu bezbronnych rodaków. Zrozumiałem, że o wiele słuszniej postąpię, jeżeli dążyć będę do stałego pokoju między wszystkimi stałymi mieszkańcami puszczy i połączę swój los z ich losem we wspólnej walce z niegodziwym przeciwnikiem, uciekającym się do tak nikczemnych metod walki. W dotychczasowym stanie rzeczy wyczuwałem coś głęboko niesłusznego i niesprawiedliwego".

Potomek ginącej rasy ludzkiej o indyjskiej krwi płynącej w żyłach — posiadał gorące serce. Działalność swą rozpoczął od skromnych odczytów w małych osiedlach i od niewielkich artykułów. Bezpośredniość i głębokie odczucie z jakiem ten człowiek tak nierozerwalnie związany z puszczą ujmował swe tematy, zaczęły wywoływać coraz większe wrażenie. W niedługim czasie Szara Sowa przyjął propozycję angielskiego wydawcy i pisze książkę, która otwiera mu drogę do dalszej działalności literackiej i rozgłosu. Sam nie oddala się od ukochanej puszczy, lecz zamieszkuje zdala od osiedli ludzkich, by móc obserwować życie swych ulubionych współbraci, którzy odczuwają w nim kogoś bliskiego i darzą go pełnem swem zaufaniem. Z całej Kanady zaczynają zjeżdżać się przyrodnicy do czarodziejametysa, który w nasze czasy przeniósł wizję Wielkiego Przyjaciela zwierząt z Assyżu. Film z życia bobrów, zdjęty dzięki współpracy Szarej Sowy i wyświetlany w setkach miast i miasteczek, w uniwersytetach i po szkołach, wywołał niezmierne wrażenie. Ginące bobry puszczy kanadyjskiej i ich żarliwy opiekun zwróciły na siebie uwagę całej Kanady.

Zagadnieniem ochrony bobrów zajął się wreszcie i rząd kanadyjski i wprowadził przepisy ochronne, aby bobrzy ludek zabezpieczyć przed prześladowaniem człowieka. Do służby tej powołano w pierwszym rzędzie Szarą Sowę, bo nikt tak, jak on, nie zna tajników puszczy kanadyjskiej.

Dr. K. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Problem międzynarodowej wymiany znaczków już oddawna zajmuje filatelistów całego świata i prawdopodobnie tylko z tego powodu napotyka na trudności, że kupcy, którzy żyją ze swej pracy, polegającej na dostarczaniu egzemplarzy poszukiwanych przez zbieraczy, utrudniają wymianę amatorom.

Można jednak znaleźć punkt wyjścia, byle tylko znalazł się ktoś energiczny i umiał wyszukać sobie odpowiednich partnerów. A warto naprawdę postarać się o to, bo obecnie przy ograniczeniach dewizowych nie sposób uzupełnić sobie zbiory specjalne. Prywatnie nie można przecież znaleźć partnera, który dałby właśnie za polskie nowości stare angielskie znaczki niestemplowane, a jeśli np. ktoś chce się pozbyć egzemplarza wartości nominalnej 5 funtów, to gdzie może znaleźć t. zw. „90-kę Poczta Polska", by ją dostać we wymianie?

Rzecz zupełnie zrozumiała, że transakcje rarytasami o wartości około stu złotych, muszą być przedsiębrane bardzo ostrożnie, dlatego też mówmy raczej o sztukach przeciętnych, które dla nas mają niewielką wartość, a zato w Australji cenione są na wagę powiedzmy np. srebra.

Organizacja owej „S. I. É. T." (Société Internationale d'echangistes de Timbres-poste) przedstawiać się powinna następująco: W Paryżu np. istnieje komitet główny, który tylko rejestruje zgłoszenia organizacji w poszczególnych krajach i przeprowadza kontrolę w razie jakichkolwiek nadużyć. Składki członkowskie, o minimalnej wysokości zresztą, wynoszące jednak w sumie pokaźną kwotę, służyłyby na wydawanie miesięcznika, który zawierałby adresy wszystkich filij wielkiego związku, zmiany dawnych adresów i ewentualnie płatne ogłoszenia poszukujących we wymianie specjalności.

Dotychczasowe związki zbieraczy nie dawały żadnej gwarancji czy dany zeszycik będzie zwrócony w stanie należytym i czy za egzemplarze wybrane otrzyma właściciel odpowiednie sztuki we wymianie. Przy oficjalnej organizacji sprawa przedstawiałaby się bezporównania lepiej, gdyż wtedy jeden oddział związku polskiego np. w Bielsku, wysyłałby wybór do oddziału związku francuskiego w Lille, tam zaś rewanżowanoby się odpowiednią przesyłką. Uzgodnienie sald natrafiałoby rzecz prosta na liczne trudności, ale ponieważ my filateliści posiadamy naszą własną walutę o szerszym zasięgu niż dolar czy funt, a mianowicie markę Michla i frank Yverta, więc obroty czynione tutaj dałoby się łatwo uzgodnić zależnie od porozumienia między kontrahentami.

Przy jakiejkolwiek malwersacji ze strony kierownika wymiany jednej z filij „S. I. E. T.", której dałoby się uniknąć przez wybieranie na to stanowisko tylko osób finansowo odpowiedzialnych — musiałby wyrównać zaległość związek zbieraczy całego państwa.

Przypuszczamy, że Czytelnicy „Asa" zainteresują się naszym projektem i chętnie zamieścimy uwagi i pomysły na ten temat.

Projekt wyżej podany naszkicowany zresztą tylko zgrubsza, jest dzisiaj tylko mrzonką, trudniejsze jednak przedsięwzięcia zdołali zrealizować ludzie energiczni.

Witold Horain.

* * *

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPAN ALOJZY W., KRAKÓW-RAKOWICE. Radzimy zgłosić się pod pow. adresem.

WPAN ALEKSANDER SZYMAŃSKI, ŁAŃCUT. W drodze wyjątku udzielimy odpowiedzi listownie, na przesłanej nam pocztówce.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM.

IRENA WASIUTYŃSKA.



Irena Wasiutyńska, artystka teatrów T. K. K. T. w Warszawie, jest chyba jedyną artystką dramatyczną polskich teatrów, która odbyła również karjerę speakerki radjowej. Wśród wielu polskich speakerów i speakerek, p. Irena Wasiutyńska wybitnie wyróżniała się swym radjofonicznym głosem, głębokim, spokojnym, dziwnie fascynującym. Choć kilka już lat minęło, od kiedy głosu p. Wasiutyńskiej nie słychać w głośniku radjowym, napewno wielu słuchaczy pamięta go do dziś jeszcze. Osobiście znam kilku panów, którzy poprostu... kochali się w głosie panny Ireny, i do dziś żywo pamiętają o swych niecodziennych wzruszeniach, które przeżywali, wsłuchując się w... komunikaty meteorologiczne, odczytywane przez swoją ulubioną speakerkę.

Pragnąc umieścić pannę Irenę Wasiutyńską na naszem „cenzurowanem", postanowiłem połączyć piękne z nadobnem i... wywiad z artystką odbyć telefonicznie. Tą „nadobną" stroną wywiadu miała być sposobność do półgodzinnego wsłuchiwania się w piękny, spokojny ton głosu mej rozmówczyni, który i w słuchawce telefonicznej wyróżnia się od tysiąca innych. A zatem — dzwonię

— Hallo? Tak, to ja... — słyszę prześliczny głos panny Ireny. Chce pan coś o mnie napisać? Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu.

— Rozumie pani jednak, że chcąc napisać, muszę przedtem długo pani słuchać — odpowiadam, używając lekkiego podstępu, by skłonić artystkę do dłuższych wynurzeń.

Podstęp jednak nie udaje się. P. Irena oświadcza niespodziewanie:

— Upoważniam pana do napisania wszystkiego, co pan uzna za stosowne. Uważam, że wywiad, jako jedna z form, przyjętych w prasie, winien być ciekawy, nietylko dla czytelnika, ale i dla osoby, z którą wywiad przeprowadzono. A takim będzie on wtedy, jeśli będzie dla mnie niespodzianką, jeśli nie wiem zgóry, co pan napisze. Czy nie uważa pan, iż w życiu najprzyjemniejsze jest oczekiwanie? Proszę mi nie odbierać tej przyjemności!

Jestem w kłopocie. W czasie rozmowy w „cztery oczy" nie trudno jest podtrzymać wątek rozmowy choćby — chwilą milczenia zużytą na poczęstowanie papierosem i zapalenie go. Oczywiście trudno to uczynić zapomocą kabla telefonicznego.

— Czy pani pali? — zapytuję niechcący.

— Owszem. Bardzo lubię palić papierosy. Nauczyłam się, gdy pracowałam w Radjo. To taka nerwowa praca i bardzo męcząca.

— Jakże to wogóle się stało, że pani znalazła się „po tamtej" stronie mikrofonu? I dlaczego przerwała pani pracę w Radjo?

— To bardzo proste. Byłam uczenicą warszawskiej Szkoły dramatycznej, mając zamiar poświęcić się karjerze teatralnej. W czasie, gdy byłam na ostatnim kursie, Polskie Radjo ogłosiło konkurs na speakerkę. Wzięłam udział w konkursie i przyjęto mnie. Po roku jednak, gdy skończyłam Szkołę Dramatyczną, zrezygnowałam z dalszej pracy, ponieważ nie dałoby się to pogodzić ze sceną.

— Czy pani miło, czy niemiło wspomina te czasy radjowe?

— I miło i niemiło. Wszystko ma swoją odwrotną stronę medalu!

Korzystam, że rozmowa nabrała wreszcie ciągłości, zapytuję dalej:

— Powiedzmy, że otrzymała pani medal za swój piękny radjofoniczny głos. Co wyryto na odwrotnej stronie tego odznaczenia?

— Och, napewno dużo więcej, niż na tej radosnej stronie. Przedewszystkiem moc listów... z wymyślaniami za mój brzydki głos.

— Co takiego?! Ależ to niewiarygodne!

— Owszem, wiarygodne. Nie przeczę, że jako speakerka otrzymywałam dużo listów z zachwytami. Te listy pisali mężczyźni. Natomiast płeć odmienna była wręcz odmiennego zdnia o moim głosie! To bardzo charakterystyczne!

— Zapewne posiada pani w swojem archiwum niejeden z tych pamiątkowych listów?

— Owszem, zwłaszczą jeden. List o goździkach.

— Czy to będzie niedyskrecja, jeśli zapytam o szczegóły?

— Ależ wcale nie! To doskonały kawał! Pewnego razu napisał ktoś do mnie mocno erotyczny list. Że słucha mnie codziennie, że oczarowany... że wogóle, no, pan wie, co piszą mężczyźni w takich wypadkach. Wkońcu, że będzie przez trzy wieczory z rzędu czekał na mnie w Café Club, z czerwonym goździkiem w klapie marynarki.

— No i...?

— No i ma się rozumieć, nie poszłam. Zamiast siebie, wysłałam w pierwszy zaraz wieczór do Café Clubu trzech

Dokończenie na str. 31-ej.

Fot. H. Skowrońska, „Rafael" Warszawa



JAN DĘBEK

TRZY MARSZE

NOWELA WYRÓŻNIONA NA KONKURSIE „ASA“ NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ.

Dziadek obudził się już o piątej. Ostrożnie otworzył oczy i przez chwilę wpatrywał się w majaczące zaledwie w mroku kontury mebli. — Przecież to już dziś środa — pomyślał i zamknął oczy. Nie chciało mu się wstawać. Od pewnego czasu trapił go silny niepokój wewnętrzny. Coś się w tem życiu nie składało, coś się rwało ciągle — Bóg jeden wie, dlaczego!

— Ano, przecież to środa! Wstawaj, stary, bo zgnijesz w tych puchach! — wydał sobie stanowczy rozkaz. Jeszcze chwilę czekał, jakby chciał dać możność dotarcia tym słowom do wszystkich komórek swego ciała, a potem wyskoczył z pod koca gwałtownie i sprężyście. W tej chwili zapomniał o swoich siedmiu krzyżykach z dodatkiem.

Ogarnął go nieprzyjemny chłód pokoju. Wzdrygnął się raz i drugi i poszedł do okna. Głucha, zapłakana jesiennym deszczem noc rozpościerała się za oknem. Dziadek westchnął.

Na leżance, przy przeciwległej ścianie, rzucał się niespokojnie wnuk. Dziadek odwrócił się od okna. Zapalił mizerną naftową lampę i przy jej chybotliwym płomyku zaczął się ubierać.

Wnuk spał dalej. Jedną nogę wysunął z pod koca i drapał ją aż do krwi. Dziadka to niepokoiło. — Cholerne pluskwy, zaklął i z lampą w dłoni wyruszył na odsiecz wnukowi.

Popatrzył na dużą, muskularną nogę wnuka, kiwał głową i wrócił do zwykłych zajęć. O szóstej był już gotowy. Napalił w piecyku, zaparzył herbaty, ukroił kilka skibek chleba i usiadł znowu przy oknie.

Właściwie powinien już obudzić wnuka. Zegar wskazuje szóstą. — Jeszcze kwadransik, chłopaczku, i tak niema się do czego spieszyć. Psie życie. Nie takie to ongiś bywały czasy, ale ty ich już nie pamiętasz. Może to i lepiej...

Przez ten kwadransik dziadek rozpamiętywał swoją świetną przeszłość. A było o czem myśleć! Jezus, Marja, tyle pieniędzy przepuścił, że teraz z wnukiem mogliby jakąś porządną chałupę kupić i żyć bogobojnie, jak Pan Bóg przykazał. W taki dzień, jak dzisiaj, leżeliby obaj do góry brzuchem do samego południa.

A jednak jest inaczej. Za dziadkowe grzechy pokutuje wnuczek.

Już piętnaście po szóstej! Niema co, trzeba smyka piorunem budzić. Dziadek podchodzi do gramofonu, nakłada płytę „Marsz triumfalny“, kręci korbką, liczy do dziewięciu, zmienia igłę, zwalnia sprężynę i —

— ram... ta... ramm... ram... ta... ramm...— dźwięki dziarskiego marsza wypędziły ciszę i smętek z pokoju.

Dziadek, nauczony przez wnuka, ryczy na cały głos:

— Pobudka! pobudka! wstawać! Ja tu trąbię pół godziny, a wy śpicie!...

Ha! niejednego kaprala zdystansowałby dziadzio. Bo dziadzio, choć nigdy w mundurze nie chodził, żołnierzem był całe życie. Humor tracił tylko w wyjątkowych okazjach, odwagi — nigdy!

Wnuk otworzył oczy. Spojrzał na wykrzykującego dziadka. W dużych, zamglonych jeszcze oczach pojawiły się pierwsze figlarne błyski.

Marsz triumfalny huczy w czterech ścianach izdebki. Zupełnie biała, lecz bujna czupryna dziadka trzęsie się w takt wesołej melodji.

Ha, trudno! Rozkaz — rozkazem. Wnuk jest podchorążym rezerwy, więc zna wagę tego słowa. Zrywa się, staje na baczność i melduje posłusznie dziadkowi swój powrót do życia.

— Jak on spał? — pytał dziadek, łaskawie klepiąc wnuka po ramieniu.

— Morowo!

Nagle milkną dźwięki marsza. Jakaś przeraźliwa, złowróżebna cisza zaległa pokój. Dziadzio i wnuk patrzą sobie jeszcze chwilę w oczy. Dziadek przestaje się uśmiechać, z oczu wnuka znika entuzjazm. Obydwie twarze stają się łudząco podobne do siebie: szare, zmęczone, zgaszone.

Dziadek pierwszy opanował położenie. Zdobył się na coś, co możnaby nazwać uśmiechem.

— No, ruszaj się, Stachu! O siódmej musisz być na miejscu. Herbatę już przygotowałem.

Tak zaczyna się ich dzień, od roku wciąż tak samo. Każdego dnia spodziewają się jakiejś zmiany — zawsze bezskutecznie. Obydwaj nie tracą nadziei, lecz coraz im ciężej. Wnuk, magister filozofji, autor dzieła historycznego, poliglota, stenografujący w kilku językach, człowiek o szerokich horyzontach myślowych, czeka na pracę, na jakąkolwiek posadę, choćby w przybliżeniu odpowiadającą jego zdolnościom i kwalifikacjom. Dziadek, były właściciel dóbr, wytrwały globtrotter i namiętny gracz, człowiek, którego dwie trzecie życia minęły jak rozkoszna bajka, u kresu swoich dni dzieli los wnuka. Stary pan i młodzieniec tworzą nierozdzielną parę. Zdaje im się, że tylko dla siebie żyją. Innego sensu życia nie widzą. Wnuk już nieraz myślał o tem, że jak dziadek przeniesie się na tamten świat, trzeba będzie zaraz pójść za nim. Raz nawet powiedział to głośno, ale stary ofuknął go i wyzwał od smarkaczy.

Wnuk szybko uporał się ze śniadaniem.

— Zaraz siódma, Stachu, lepiej sie nie narażać Baniakowi. Śpiesz się, śpiesz!

Od dwóch tygodni wnuk pracował przy doraźnych robotach miejskich. W pierwszym tygodniu przenosił kamienie z jednej kupki na drugą, bo zatrudniony był przy budowie nowej ulicy. Magistrat chciał ją wykończyć przed pierwszemi śniegami, więc spędził wszystkich bezrobotnych z miasta i okolicy. W drugim tygodniu Stach rozbierał stare forty za miastem. Co sobotę po południu kładł dziadkowi na stół kilkanaście złociszów.

Kwadrans przed siódmą Stach wstał od stołu. Dla ochrony przed deszczem wciągnął jakąś wyszarzałą jesionkę, kapelusz zasunął głęboko na oczy i wyszedł na dwór. Dziadek odprowadził go przez ogródek do tylnej furtki, skąd drogą, wysypaną czarnym żużlem, do fortów już było niedaleko.

— Z Bogiem, syneczku!

— Z Bogiem, dziadku. A co dzisiaj na obiad będzie?

— He, he, ciekawość — pierwszy stopień do piekła. Zobaczę, co tam Kowalska pitrasi. Zrobimy to samo.

Dziadek stał tak długo przy furcie, dopóki wnuk nie rozpłynął się we mgle. I byłby tak może stał bez końca, gdyby nie dokuczliwy, jesienny deszczyk. Musiał zawracać.

— Ano, to dzisiaj środa. Pewnie Kowalska zrobi grochówkę. Tak, tak, w środę grochówka, w czwartek kasza, w piątek śledź. Doczekaliśmy się czasów, Staszku, co?

Domek, w którym dziadek wynajmował izdebkę z kuchenką, stał sobie skromniutko na samym skraju Chełmińskiego Przedmieścia. Była to parterowa chatyna, okupowana przez liczną rodzinę Kowalskich. Prym w tem królestwie dzierżyła gruba mama, urodzony dyktator.

Dziadzio dzisiaj nie miał ochoty gotować! Z odejściem wnuka rozwiała się gdzieś poranna energja. Zaledwie dowlókł się do Promykowej, kupił pół funta grochu, ćwiartkę krakowskiej kiełbasy, a już poczuł się tak zmęczony, jakby conajmniej wracał z dziesięciokilometrowego spaceru. Ostatni raz pozwolił sobie na taką przyjemność dwie niedziele temu. Dziadek usilnie starał się zapomnieć o swoich siedmiu krzyżykach.

— Droga pani Kowalska, mam taką prośbę, wie pani?

— Niby co?

— Widzi pani tę krzynę grochu i kiełbasy. Niech to pani razem ze swojem ugotuje. Drewek zaraz przyniosę. Bo to mnie w prawym boku na tę pluchę strzyka, aż strach.

Mama Kowalska w zasadzie nic nie miała przeciwko temu. Tylko o drewka długo się targowała, ale za fatygę coś jej się należy, prawda?

Dziadzio pozbył się jednego obowiązku. Odetchnął lżej. Z blaszanego pudełka wygrzebał trochę tytoniu i skręcił sobie papierosa. Wtulił się w najciemniejszy kąt pokoju i raz po raz głęboko zaciągał się dymkiem. Tylko raz dziennie pozwalał sobie na tę przyjemność. Przed wnukiem udawał, że ze względów oszczędnościowych pozbył się tego nałogu zupełnie.

O godzinie dziewiątej wypogodziło się. Silny wiatr porozpędzał chmury. Zaświeciło znów dobre, złote słonko, zalewając ciepłemi jeszcze promieniami podmiejskie domki i podwórka.

— Pani Kowalska! Ja na godzinkę będę musiał wyjść. Jakby tu coś przyszło, list albo co, to niech pani odbierze. Dobra?

Wziął dziadzio swój odświętny, ciemny tużurek, laskę staroświecką i poszedł w kierunku fortów drogą, wysypaną czarnym żużlem. Czuł się trochę nieswojo, bo nigdy o tej porze nie wychodził z domu. W myśl ustalonego programu powinien teraz obierać kartofle.

Oczy bolały go od nadmiaru słońca, ale mrużył je z uśmiechem. Szedł sprężyście, jakby nie siedem, a trzy krzyżyki miał na barkach. Nad podziw dobrze trzymał się stary pan Pobóg-Proszowski. Jego wysoka, wytworna postać dziwnie odbijała od małych, wrośniętych w ziemię domków z pruskiego muru.

Na kilkadziesiąt kroków przed fortem stanął. Ukrył się za szerokim pniem bezlistnego już kasztana i wypatrywał w gromadzie robotników swego wnuka. Dojrzał go. Wnuczek pchał po prymitywnych szynach z desek taczkę gruzu. Widocznie było mu gorąco, bo pracował jedynie w koszuli. Wiatr wydymał ją śmiesznie, układał na plecach w jakiś potworny, przerażający garb.

Stary pan Proszowski uczuł w tej chwili silny ucisk serca. Było mu niewymownie przykro, choć powtarzał sobie pod nosem utartą formułkę: taka sama robota, jak każda inna.

Może z godzinę stał tak pod kasztanem. Bezwiednie ściągnął z głowy uroczysty melonik, jakby dla podkreślenia świętości pracy wnuka. Odwrócił się dopiero wtedy, kiedy poczuł, że po policzku spływa mu samotna łza.

Ze zwieszoną głową, zgięty jak żebrak kościelny, wracał do domu. Mógł sobie pozwolić na mazgajstwo. Wnuk nie widział.

Punktualnie o wpół do pierwszej na czarnej drodze pojawił się Stach. Dziadek zdążył akurat rozlać zupę na talerze i poczłapać do okna, kiedy wnuk trzasnął furtką.

— Hej, bywaj — krzyknął i co żywo podbiegł do patefonu. Kiedy wnuk zastukał butami o kamienną posadzkę w sieni, rozległy się dźwięki drugiego marsza „Wielka parada“. W zbiorku znajdował się jeszcze

jeden marsz, ale ten zachowywali na wieczór.

— Wesoło, wesoło — krzyknął wnuk na progu, ściągając jesionkę. — Niepotrzebnie ją zabierałem, bo gorąco, jak w lipcu.

— Wesoło, bo grochówka!

Wnuk usiadł przy stole na trzeszczącem krześle. Brudną ręką uchwycił łyżkę i zaczął jeść łapczywie gorącą zupę. Dziadek patrzał zgorszony.

— Mógłbyś przynajmniej ręce umyć, smyku!

— Et, co się tam będziemy patyczkować. Smacznego, dziadku!

— A ja ci mówię, że lepiej byłoby, gdybyś umył ręce. Chcę, żebyś to zrobił, rozumiesz? Schamiejesz zupełnie, panie magistrze. Patrzcież go, jak smarkacza trzeba napędzać do mycia. No!

— Oj, dziadek dzisiaj niebardzo z humorkiem. Już wstaję. Za chwilę będę miał rączki, jak Marcysia.

Stach silił się na dowcip, chcąc opanować rozdrażnienie swoje i dziadka.

— Ty wogóle się zaniedbujesz — wyrzucał dziadek ze siebie ostre słowa, choć sam nie wiedział, skąd one mu się brały. — Od pewnego czasu wcale cię nie poznaję.

Plusk wody, nacieranie dłoni i niewyraźne pomruki dziadzia zlały się w jeden ton. Wnuk spoglądał jakoś dziwnie na dziadka i w pewnej chwili decyduje się na takie słowa:

— A ja dziadka poproszę o jedno, o wyrzucenie tej płyty obiadowej. Ona jest okropna. Nie znoszę jej. Dziadek wie o tem również dobrze.

— A to co?

— Poco, dziadziu, rozgrzebywać stare rany. Poco?

— Nic nie rozumiem — szeptał stary pan Proszowski.

— Bo dziadzio tym marszem wywołuje zawsze obrazy...

Wnuk urwał w połowie zdania. Chciał powiedzieć, że ilekroć słyszy melodję tego marsza, przypomina mu się ona... Jadzia. Nie ta obecna, która z uśmieszkiem politowania patrzy na bezrobotnego inteligenta, ale ta dawna, kochana, słodka dziewczyna. Miała wtedy dziewiętnaście lat...

— No, co — zachęcał dziadek — powiedz, co ci leży na sercu. Ulżyj sobie.

— Dziadek zna napamięć tę piosenkę, podobnie jak marsz z tej cholernej płyty. Poco wciąż to przypominać? Takie proste i takie odległe. Ładna żoneczka...

— Przytulne mieszkanko, ciepła posadka. Jedz, bo ci groch zupełnie wystygnie. Widzisz, że ja równie dobrze znam twoje marzenia, jak ty.

Rozmowa się urwała. W milczeniu dokończyli obiadu, potem wnuk umył talerze.

O trzeciej po południu wyszli do miasta. Codziennym celem tego spaceru była czytelnia w Książnicy Miejskiej. Siedzieli tam conajmniej godzinę. Wnuk we wszystkich gazetach studjował rubrykę „wolne posady" oraz artykuły wstępne w pismach radykalnych. Dziadek w prasie konserwatywnej doszukiwał się ech dawnej przeszłości ziemiańskiej.

Dziadek wymykał się zwykle wcześniej. Męczyła go zgęszczona atmosfera w czytelni, z dzienników, gazet i kurjerków wiały same smętne wiadomości.

— Już dziadzio idzie?

— A tak, przejdę się chyba na dworzec.

Ruch na dworcu, odjeżdżające i przyjeżdżające pociągi, tłumy z tobołkami, twarze smutne i wesołe, dalekie tęsknoty i przyziemne troski, kabalistyczne znaki na planach jazdy, podejrzane typki — życie bujne i gwarne szumiało koło wysokiego starca. A on stał przy oknie z widokiem na peron i myślał o ostatniej wielkiej podróży, którą trzeba będzie wkrótce odbyć. — Żeby tylko jakoś Staszka gdzieś przedtem ulokować, żeby nie zmarniał chłopak!

Wnuk wyszedł ostatni z czytelni. Była godzina wpół do ósmej. Na ulicy Szerokiej panowało największe natężenie ruchu. Staszek idzie zwolna, staje prawie przed każdą cukiernią. — Czy puścić tę ostatnią złotówkę, która od tygodnia spokojnie spoczywa sobie w kieszeni? — Krótka, lecz silna walka wewnętrzna: nie! Niewiadomo, co jutro przyniesie. Prawda! Trzeba będzie wysłać nowe podanie. Czy jednak warto?

Ósma! Dziadek czeka z kolacją. Rozlegną się dźwięki marsza nr. 3. Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.

Wnuk forsownym marszem śpieszy do czerwonego domku na skraju Chełmińskiego Przedmieścia. Dużemi krokami „wyrywa" z śródmieścia. Dziadek lubi punktualność. Stach dziwi się, jak mogą go w takiej chwili nachodzić burżujskie pokusy?

Na progu nieruchomieje z zachwytu. Stół zastawiony, jak za dawnych, najlepszych czasów. Mięso, sosik z kartoflami, ba — nawet owoce. Herbata wesoło dymi w szklankach.

— Co się stało, dziadku? Skąd pieniądze? Dlaczego się dziadek uśmiecha tak tajemniczo?

— Życie jest zagadką — odpowiada głośno stary, chcąc przekrzyczeć dźwięki marsza nr. 3.

Wnuk się więcej nie pyta. Rozumie, że dziadzio musi mieć swoje fantazje. Ostatecznie pogłodują kilka dni i budżet się wyrówna.

— Jedz, mały, kto wie, czy świat potrwa trzy godziny!

„Małemu" nie trzeba dwa razy powtarzać. Je wolno, ale wytrwale i z pewną metodą. Dziadek mu dzielnie sekunduje.

— Dziadku! Chyba przestaniemy. Na noc niedobrze tyle mięsa...

— Baba! — mruczy pogardliwie pan Proszowski. — To twoje, co zjesz. Kto wie, czy świat...

Po kolacji dziadek wyjmuje z kieszeni calutenką paczkę egipskich. Rozcina ją paz-

Dokończenie na str. 26-ej.



PAŁAC ZA 50 MILJONÓW ZŁOTYCH FRANKÓW

Sześć lat po zorganizowaniu się postanowiła Liga Narodów wybudować dla siebie nowy odpowiedni gmach, któryby pomieścił wszystkie biura dla sekretarjatu generalnego, komisyj, konferencyj i t. d. Dotychczas, t. j. od roku 1920, mieściły się biura Ligi Narodów w budynku wyborczym w Genewie, nie reprezentującym godnie tego rodzaju instytucji.

Na rozpisany konkurs nadeszło z całego świata 377 projektów, z których 9 okazało się najpraktyczniejszych i najestetyczniejszych. Na teren budowy wybrano park Ariany, w pobliżu słynnego „Placu Narodów". W r. 1929 położono kamień węgielny, a już w lutym 1936 r. wprowadził się do nowego monumentalnego gmachu pałacu Ligi Narodów sekretarjat generalny, liczący 600 urzędników. Obecnie kompleks budynków jest już niemal całkiem wykończony. 500 robotników pracowało stale, przepracowując razem 550.000 dniówek.

Na całość gmachu składają się cztery zasadnicze części: sekretarjat generalny, biura i sale rady Ligi Narodów, sale na walne zgromadzenia i bibljoteka. Gmach bibljoteki i jej urządzenie jest darem Rockefellera jun., który ofiarował na ten cel 5,500.000 franków szwajc. Gmachy rozpościerają się na 18.000 m² terenu, wśród wzorowo utrzymanego parku. Kubatura całości wynosi 440.000 m³, czyli że pałac Ligi Narodów równa się mniej-więcej pałacowi wersalskiemu. Poszczególne sale urządziły dobrowolnie państwa, wchodzące w skład Ligi. Przyznać należy, że ze swojego zadania wywiązały się doskonale tak pod względem dekoracyjnym, jak i celowym. Wielka sala walnych zgromadzeń mieści razem z galerjami 2.000 osób. Na parterze znajduje się 250 miejsc dla delegatów i 276 miejsc dla sekretarzy i ekspertów, na specjalnej estradzie 179 miejsc dla dyplomatów. Na I. piętrze są miejsca z pulpitami dla 438 przedstawicieli międzynarodowej prasy.

W nowym pałacu Ligi Narodów mieszczą się także luksusowe garaże, bary, restauracje, czytelnie, palarnie. Znajduje się tam 1.700 zegarów, 21 wind, 950 aparatów telefonicznych, 668 umywalek marmurowych, 1900 kaloryferów, 1650 okien i t. d. Z sali przeznaczonej dla prasy, idzie się do sali posiedzeń pełnych 5 minut. Dostarczanie dokumentów i akt z podziemia do biur na górze, służy mechaniczna taśma motorowa. Tak komfortowo wybudowany gmach pociągnął za sobą koszta 50 miljonów fr. szw. w złocie. Suma ta przekroczyła kosztorysy o 3 i pół miljona. Jeżeli jednak zestawimy koszty budowy pałacu Ligi Narodów z kosztami budowy pałacu wersalskiego, to są one raczej bardzo małe, gdyż wersal kosztował Ludwika XIV pełny miljard fr.

Przewodniczącym walnego zgromadzenia Ligi był w r. ub. jeden z najbogatszych ludzi na świecie, wódz hinduskich muzułmanów Aga Khan. Z okazji otwarcia gmachu wydał on przyjęcie tak wspaniałe, jakiego nie znają dzieje od ukończenia wojny światowej. Damy, biorące udział w uroczystości, wystąpiły w najświetniejszych paryskich strojach i przeważnie rodowych biżuterjach. Siedem najsławniejszych zespołów jazzowych z Paryża i Londynu przygrywało do tańca. „Pękło" 2 tysiące flaszek najdroższego szampana, skonsumowano 130 kg. kawioru, z Nicei nadeszło kilka wagonów kwiatów. Na gości czekało w garażach w pałacu i w parku 200 wytwornych limuzyn. Mieszkańcy Genewy do dziś dnia zachowali w pamięci szczegóły tego przyjęcia „z tysiąca i jednej nocy".

Zygmunt Borzęcki.

Na lewo: Ogólny widok pałacu Ligi Narodów od strony parku.



Fragment t. zw. hali zielonej, której wysokość sięga 10 mtr.

★



W kole: Fronton gmachu, oświetlony reflektorami.



Powyżej: Hala spacerowa, znajdująca się obok sali posiedzeń Ligi Narodów.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA: ZYGMUNT BORZĘCKI, GENEWA

Na lewo: Oryginalnie oświetlony hall z szatniami.

MILJONY W SŁUŻBIE S·P·O·R·T·U

Sport — do czasów przedwojennych traktowany wyłącznie jako chwilowa rozrywka sfer posiadających, rozwinął się po wojnie z żywiołową wprost siłą i stał się udziałem nietylko jednostek, lecz ogarnia całe warstwy ludności. — Rzecz oczywista, że tak ogromne rozgałęzienie sportu działa niezwykle pobudzająco na przemysł, który zajmuje się dostarczaniem sprzętu sportowego. — Statystyki wielkich fabryk z ostatnich lat i przedsiębiorstw sportowych głównie krajów anglosaskich wykazują wielkie obroty i pokaźne zyski. — I tyczy się to wszelkich gałęzi sportu, poczynając od najpopularniejszego, jakim jest piłka nożna, a kończąc na stosunkowo ekskluzywnym sporcie, jak golf. Dawniej sport bokserski — obok piłki nożnej ekscytował najbardziej masy, dziś znalazł on groźnego konkurenta w hokeju na lodzie. — I wpływy kasowe w czasie wielkich turniejów hokejowych są stosunkowo większe, niż podczas meczów bokserskich. Oczywiście wyjątek stanowią wielkie mecze o mistrzostwo świata, urządzane z olbrzymim nakładem reklamy mające głównie komercjalne cele na oku. — Zarobki sławnych bokserów są też jak na nasze stosunki — olbrzymie. Jack Dempsey sławny bokser Ameryki, ulubieniec tłumów, zarobił w czasie swej karjery bokserskiej prawie półtora miljona dolarów. Joe Louis zwany „czarną błyskawicą" dla swego nieprawdopodobnie szybkiego ciosu, zarobił na razie „tylko" 750.000 dolarów, ale ma jeszcze sporo meczów przed sobą, może więc „dorobić" do okrągłego miljona! — Natomiast sport zapaśniczy jest w krajach anglosaskich mniej popularny od bokserskiego, chociaż jest on może bardziej kulturalnym. Honorarja najsławniejszych nawet zapaśników nie przekraczają kwoty 30—50 tysięcy dolarów za wieczór. Zazwyczaj zarówno zapaśnicy, jakoteż bokserzy wycofują się po pewnym czasie z areny i oddają zawodowi „cywilnemu": Zostają kierownikami lub właścicielami barów, lokali rozrywkowych itd.

Słynny francuski bokser i bożyszcze Paryża, Georges Carpentier stracił wskutek nieudanych kombinacyj finansowych cały niemal swój majątek. Za resztki tegoż kupił jednak nocny bar-kabaret w wytwornej części Paryża, oraz kawiarnię na Riwierze w Cannes i oba te przedsiębiorstwa prosperują bardzo dobrze, a zwłaszcza kawiarnia w Cannes w czasie sezonu odwiedzana jest przez liczne międzynarodowe towarzystwo, żądne widzenia głośnego boksera. Również i Dempsey posiada niedaleko Madison Square Garden (słynny plac sportowy N. Jorku) restaurację, otwartą przez cały dzień i noc i tłumnie odwiedzaną. Bo czasy zmieniły się dziś i o ile dawniej tłumy podziwiały głośnych artystów, to obecnie artyści grają przed pustemi naogół salami a imprezy sportowe ściągają tłumy. Różne są tego przyczyny, niemniej pozostanie faktem, że upodobania publiczności się zmieniły. Sławny swego czasu przedsiębiorca i agent teatralny w Londynie, Cochran, do którego w samym Londynie należało kilkanaście teatrów i sal koncertowo-wystawowych „odbił" się odrazu, urządziwszy kilka głośnych meczów bokserskich. A koroną jego sukcesów był pamiętny mecz między Carpentierem, a angielskim mistrzem Beckkettem, który urządził z niebywałą reklamą i przy kolosalnie drogich biletach wstępu. Czysty dochód tego meczu w kwocie 50.000 funtów szterlingów, postawił go odrazu na nogi.

Regaty, zawody lekkoatletyczne, kolarstwo (zwłaszcza popularne zagranicą tzw. „sześciodniówki"), łyżwiarstwo, pływanie, piłka nożna, polo, wyścigi automobilowe, koszykówka, baseball (u nas niemal nieznany, a w Ameryce popularniejszy od piłki nożnej), nawet gra w szachy, wszystko to staje się coraz bardziej businessem z jego wszelkiemi dodatniemi i ujemnemi stronami. Ludzie zajmują się niem, mając jedynie osobisty interes na oku, a nie sam sport. „Interes przedewszystkiem" wyciska swe piętno i na sporcie. Bezwątpienia to jego ujemna strona. — Ale zatrudnianie wielu osób, danie im możności egzystencji, to znów bezwątpienia strona dodatnia. Taki np. tenis daje dochody i obroty, o których przeciętny człowiek ma chyba całkiem blade wyobrażenie. Dziesiątki tysięcy funtów szterlingów przelewają się do kas, pobierających opłaty za bilety wstępu w czasie wielkich turniejów z udziałem asów tego sportu, a słynny turniej wimbledoński uchodzi za turniej nieoficjalny o mistrzostwo świata. Tenis, ten do niedawna „arystokratyczny" sport, zdemokratyzował się błyskawicznie i ogarnia coraz większe tłumy. Te tłumy znają na wylot swych ulubieńców, ich słabostki, ich miłostki, ich chwile wzlotu i upadku. Na tle tego sportu powstają słynne postacie kobiece, jak Zuzanna Lenglen i Helena Wills-Moody. Młody o sympatycznem obejściu sprzedawca w jednym z londyńskich domów towarowych obsługuje w r. 1929 klientelę zawsze z miłym i uprzejmym uśmiechem na ustach. Zarabia niewiele — 25 funtów miesięcznie — ot, aby wyżyć. — W chwilach wolnych grywa w ping-pong. Rozrywka to bardzo miła, ale wymagająca zręczności i wprawy. Nasz sprzedawca ćwiczy dużo, bierze udział w szeregu turniejach i zdobywa tytuł mistrza świata. —

Zdobywszy najwyższą godność w tej dziedzinie okazuje teraz zainteresowanie dla tenisa. Pracuje i ćwiczy pilnie i robi w szybkim czasie tak wielkie postępy, że dostępuje zaszczytu brania udziału we wspomnianym turnieju w Wimbledonie. — W przeciągu kilku miesięcy staje się graczem o głośnem już w Anglji nazwisku. Rok później widzimy go jako czołowego tenisistę Anglji i jej reprezentanta w rozgrywkach o puhar Davisa. Dwa lata później jest już prawdziwą gwiazdą na firmamencie tenisowym, a o występ jego na turniejach ubiegają się managerowie obu kontynentów, wiedząc, jakim magnesem kasowym jest ten młody, do niedawna nikomu nieznany sprzedawca z magazynu londyńskiego. W Hollywood poznaje i prowadzi do ołtarza ślubnego głośną piękność filmową. Tym uwodzicielem był nikt inny, tylko sam — Frederick John Perry, największa chluba tenisu angielskiego. Ale zanim tenis stał się z punktu widzenia komercjalnego taką potęgą, to niemniejszą rolę odgrywał tam golf dający graczom i managerom piękne zyski. Gwiazda gry w golfa, słynny gracz londyński Cotton otrzymuje za jeden mecz o charakterze treningowo-pokazowym około 70 funtów szterlingów. Walter Hagen zarabiał rocznie około 10.000 funtów. Zdobycie tytułu mistrza gry w golfa warte jest około 10—15 tysięcy funtów szterlingów rocznie, oczywiście tak długo, jak długo ma się ten tytuł w swem posiadaniu — co z reguły nie trwa zbyt długo.

Żyłka do zakładów jest u Anglików wrodzona. I niema w Anglji jakiegoś wybitniejszego zdarzenia na niwie sportu, które nie byłoby objęte totalizatorem. Regaty i wyścigi psów, piłka nożna i sześciodniówki, wyścigi konne i Wimbledon itd., wszystko to stoi pod znakiem totalizatora. Jak olbrzymie znaczenie posiada totalizator widać z tego, że w Anglji ilość zakładów o wynik rundy ligowej w piłce nożnej dochodzi do 22 miljonów zakładów. Cyfra to zaiste imponująca. Suma obrotów obliczona w pieniądzach wynosi na nasze pieniądze około miljarda złotych rocznie!! Przytem nie należy sądzić, że się spotyka z olbrzymiemi kwotami, stawianemi naraz przez bogatych i sfanatyzowanych miłośników footballu, jakich jest w Anglji dużo. Nie! Na sumy te olbrzymie składają się stawki ogółu. Robotnik i tramwajarz — szofer i mały agent handlowy — oficer i profesor uniwersytetu, wszyscy oni zakładają się na mniejsze lub większe sumy i ilość stawianych a nie wysokość pojedynczych stawek składa się na owe astronomiczne wprost cyfry. Można śmiało powiedzieć, że niema w Anglji rodziny, gdzie nie interesowanoby się zakładami. Przyczem wysokość stawek jest różnoraka. Są stawki wyższe, naogół jednak przeważają stawki małe po kilkadziesiąt groszy. Zakłady bookmakerskie, które zajmują się w Anglji organizowanie zakładów, stanowią poważny czynnik w życiu gospodarczem Anglji. — Zatrudniają one około 30.000 osób personalu i dostarczają zarobku poczcie, kolei i gazetom idącego w setki tysięcy funtów rocznie. Działalność tych zakładów jest oczywiście niektórym ludziom nie na rękę.

Właściciele teatrów, kin i lokali rozrywkowych twierdzą, że fekwencja w niektórych dniach tygodnia, głównie w czwartki, jako dnie zawierania zakładów i soboty, jako dnie meczów, jest wręcz znikoma. — Wniosek jednak wniesiony w parlamencie, a zmierzający do skasowania totalizatora upadł sromotnie, głosowało bowiem za nim 24 posłów — przeciwko 287 posłów. Charakterystycznem jest przytem, że t. zw. „fachowcy", ludzie mający bezpośrednią styczność z graczami w charakterze trenerów, masażystów, kierowników sekcyj i t. d. nie zawsze wygrywają, a często laicy, a nawet publiczność z „zielonej galerji" ma lepszy węch.

Punktem kulminacyjnym sezonu piłkarskiego to finał o puhar Anglji, rozgrywany na tradycyjnym stadjonie Wembley. Sam fakt dostania się do puli finałowej jest dla przegrywającej nawet drużyny dużą wygraną loteryjną. Fakty „sprzedaży" graczy z jednego do drugiego klubu są również na porządku dziennym, a t. zw. giełda graczy ma swoje ustalone kursa, zależnie od pozycji danego klubu i walorów graczy. Słowem przemysł footballowy (bo jest to w pełnem tego słowa znaczeniu przemysł) zatrudnia setki i tysiące osób i w życiu gospodarczem krajów anglosaskich jest potężnym czynnikiem.

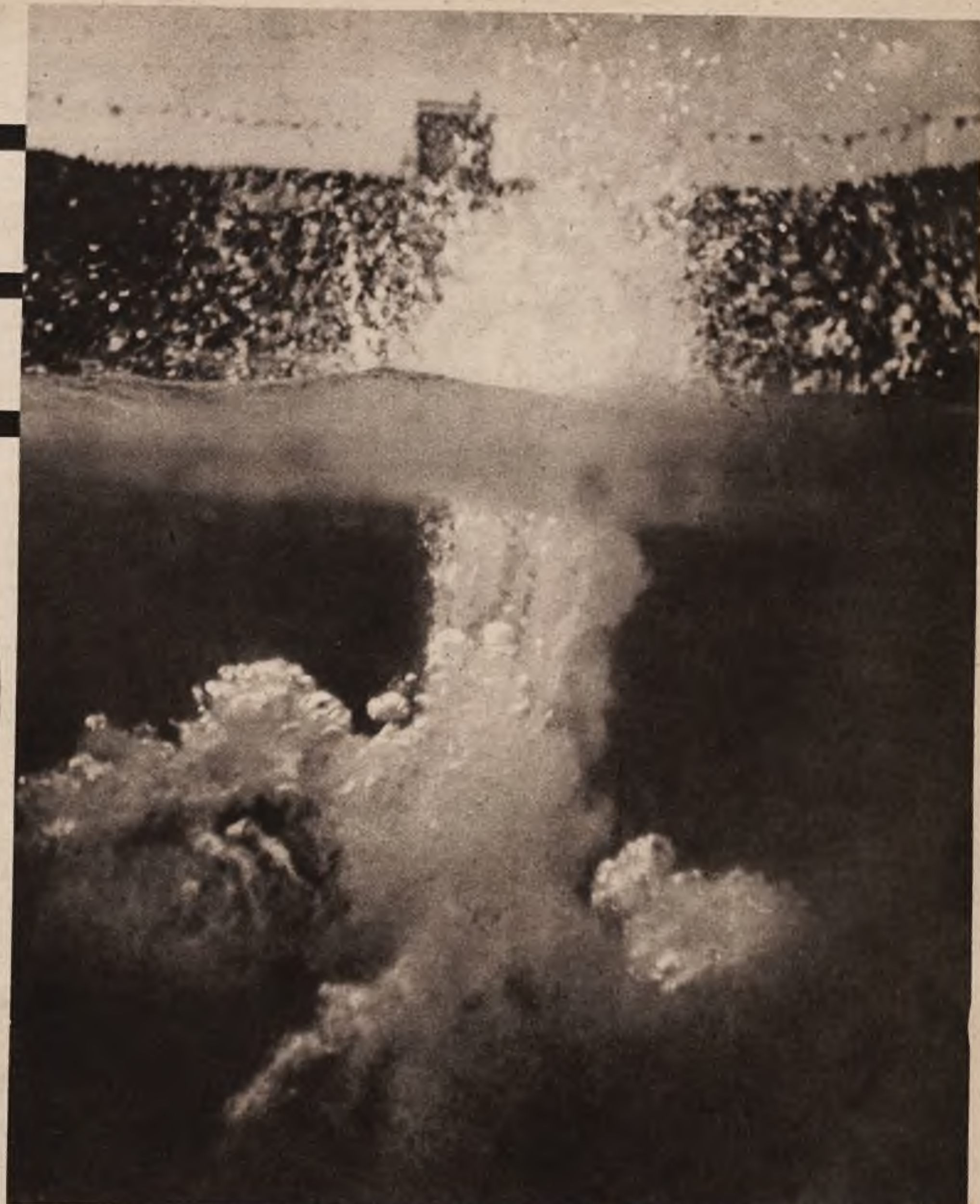
W Anglji działa tradycja sportu, są specyficzne warunki, oparte na duchowem i fizycznem nastawieniu graczy. Możliwości finansowe klubów i opieka nad graczami doprowadzone są do granic, o których nasi kierownicy klubów sportowych nawet marzyć nie mogą. Jednak mimo wszystko ostatnio zaznaczył się zwrot na lepsze. Zarówno oficjalne czynniki, jako też ogół społeczeństwa docenia ogromne znaczenie sportu i popiera go nieraz dość wydatnie, a owoce tego w postaci licznych i cennych zwycięstw na terenie międzynarodowym odbijają się głośnem echem. A że materjał ludzki jest u nas bardzo dobry, więc mamy nadzieję, że wkrótce już zrównamy się z narodami w dziedzinie sportu, stojącemi na wyżynie.

A. M.

SKOK Z TRAMPOLINY



W kole: **Efektowny skok z trampoliny.**



Przed ułamkiem sekundy pływak wskoczył do wody.

Na prawo: **Tu widzimy go już pod powierzchnią wody, otoczonego niby obłokiem wzburzonych cząsteczek wodnych.**

Na lewo: **A tu moment, gdy pływak w tym fantastycznym „futerale" dopływa do dna basenu.**



A tu znowu chwila, gdy zaczyna on powracać na powierzchnię.





PLACÓWKI DYPLOMATYCZNE W WARSZAWIE



Pałacyk ambasady tureckiej, widziany od strony ul. Chopina.

II.

AMBASADA TURECKA



Na prawo: Salonik ambasady umeblowany jest w stylu Ludwika XVI, w kolorach pastelowych.

Rozpoczęliśmy nasz cykl — zgodnie z dyplomatycznemi „preséances" (starszeństwami) — od nuncjatury papieskiej ,ponieważ nuncjusz jest we wszystkich państwach katolickcih dziekanem korpusu dyplomatycznego. Nasz przegląd świeckich placówek dyplomatycznych rozpoczynamy od ambasady tureckiej, ponieważ ambasador turecki w Warszawie przebywa u nas dłużej, niż inni, więc z tej racji ma krok przed swymi kolegami, jego małżonka zaś jest niejako przewodniczącą w gronie pań — z dyplomacji. Funkcja ta ma duże znaczenie. Przyjęte bowiem jest, że gdy nowy ambasador czy poseł składa swe listy uwierzytelniające, musi zapoznać się ze swymi kolegami, a jego małżonka z ich małżonkami. Bywa tu, coprawda, znów pewna subtelna różnica między ambasadorami i posłami. O ile poseł składa normalnie wizyty swym kolegom, o tyle ambasador zaprasza wszystkich gremjalnie do siebie. Oni pierwsi muszą mu złożyć wizytę. Potem dopiero on im za nią dziękuje. Podobnie jest z małżonkami ambasadorów i posłów. Jednak w tym i innym wypadku „dziekanka" pań korpusu dyplomatycznego musi składać wizyty wraz z „nowicjuszką", wprowadzając ją w ten sposób w świat dyplomatyczny danej stolicy. Przy większej ilości ambasad i poselstw bywa to zajęcie nawet dość uciążliwe. Żony niższych rangą urzędników wprowadza już tylko małżonka kierownika placówki: ambasadora lub posła.

Pierwszy poseł turecki w odrodzonej Polsce, dr Ibrahim Talij bej, wręczył swe listy p. Prezydentowi R. P. dnia 25 czerwca 1924 roku. Tegoż samego dnia wręczał swe listy uwierzytelniające prezydentowi Republiki Tureckiej pierwszy poseł polski, Roman Knoll. Warto zaznaczyć, że dr Talij bej był drugim posłem, jakiego odrodzona Turcja wysłała zagranicę. Pierwszego wysłała do Budapesztu, drugiego do Polski, aby nawiązać ponownie stosunki dyplomatyczne, które właściwie.. ani na chwilę nie były przerwane. Albowiem Turcja była jedynym krajem na świecie, który nigdy nie uznał rozbiorów Polski. Podczas dorocznego przyjęcia dyplomatów przez sułtanów, wielki wezyr, który ich anonsował dodawał zawsze:

— Poseł Lechistanu nie mógł przybyć.



Fragment hallu ambasady tureckiej z rzeźbą Merkurego.



Pan ambasador turecki, Ferid Tek, po wręczeniu listów uwierzytelniających Panu Prezydentowi R. P. Mościckiemu. Od lewej: Min. Beck, ambasador Ferid Tek, zastępca dyr. Prot. Dypl. Rajnold hr. Przezdziecki, Pan Prezydent R. P. oraz (ostatni na prawo) p. premjer Prystor.

Dr Talij bej wygłosił swe przemówienie audjencjonalne wobec p. Prezydenta R. P. po turecku, a p. Prezydent R. P. odpowiedział mu po francusku. Po ukończeniu ceremonjału rozmawiali ze sobą jeszcze pół godziny po angielsku.

Wnet potem miałem zaszczyt być przyjęty przez pierwszego posła tureckiego w odrodzonej Polsce, który mi powiedział m. i.:

— Celem moim będzie nawiązanie nietylko stosunków dyplomatycznych, ale i praca nad poznaniem się wzajemnem naszych narodów w celu zbliżenia się ekonomicznego.

Potem zaś dodał w swym języku ojczystym:

— Warszowada gördigimis üsnu kabul den pek memnonus.

Oznacza to po polsku:

— Jestem bardzo zadowolony z przyjęcia w Warszawie.

Zaznaczyć wypada, że dr Talij bej rozpoczął i zakończył swoją karjerę dyplomatyczną w Warszawie. Przedtem bowiem był lekarzem wojskowym, ostatnio w randze pułkownika, a potem posłem do parlamentu i jest nim nadal.

Posłem do parlamentu został także i również nadal posłuje — jego następca na placówce warszawskiej Jahija Kemal bej, który wręczył swe listy uwierzytelniające niemal równe dwa lata po swoim poprzedniku, t. j. 19 czerwca 1926 r. Gdy ten poseł opuścił Warszawę, przez dłuższy czas potem — już nie było posła, a jeszcze nie było ambasadora, gdyż tymczasem poselstwo zostało przemianowane na ambasadę. Przedstawicielstwem tureckiem w tym czasie kierowali kolejno w charakterze chargés d'affaires a. i.: Zeki Haki bej (obecnie przybrał nazwisko Karabuda i jest chargé d'affaires a. i. w Moskwie), Hassan Wasfi bej (obecnie poseł w Bernie) i Erdżüment Ekrem Rekaj zade), obecnie dziennikarz).

Pierwszym ambasadorem tureckim w odrodzonej Polsce był Dżewad bej, który wręczył swe listy uwierzytelniające 2 stycznia 1932 r. Niestety, nie poszczęściło mu się na placówce warszawskiej. Po paru miesiącach

zmarł na atak serca. Już po pół roku — dnia 5 lipca 1932 — wręczał swe listy uwierzytelniające drugi ambasador Ahmed Ferid bej, który po reformie nazwiskowej przyjął nazwisko Tek i jako Ferid Tek jest do dziś ambasadorem tureckim w Warszawie. Najwyższy rangą — jak to wyłuszczyliśmy — ze wszystkich akredytowanych w Warszawie dyplomatów, jest zarazem — najniższy wzrostem. Zresztą, miły, sympatyczny pan. Szatyn, wąsiki przystrzyżone...

Jego małżonka pani Müfide Ferid pełni swe obowiązki dziekanki pań korpusu dyplomatycznego z iście majestatyczną godnością. Piękna brunetka o ujmującem spojrzeniu czarnych oczu i czarującym uśmiechu, bardzo wytworna, dystyngowana, wykwintna i rasowa — jest cenioną literatką i działaczką społeczną. Jej dzieła są tłumaczone nawet na języki obce, a artykuł jej o literaturze tureckiej drukował kiedyś dodatek literacki „Ilustrowanego Kuryera Codziennego". Swoją działalnością publicystyczną i działalnością bojowniczki o emancypację kobiet w Turcji wsławiła się szeroko nawet po za granicami swego kraju. Możemy więc być dumni, że do naszego stołecznego korpusu dyplomatycznego należy tak miła i wybitna kobieta. Nic też dziwnego, że wszyscy chętnie garną się na jej „żurki", obecnie odbywające się w drugi czwartek każdej połowy miesiąca, oczywiście, tylko w czasie sezonu.



W sali jadalnej ambasady zwraca uwagę piękna rzeźba Cyprjana Godebskiego „Porwanie Europy".



Na lewo: Podczas większych przyjęć mały salonik ambasady przeistacza się w bufet.



Poniżej: Pani Müfide Ferid przyjmuje swych gości podczas „jour'u" w dużym salonie recepcyjnym ambasady.

Apartamenty pierwszego posła tureckiego w Warszawie mieściły się początkowo w prywatnych mieszkaniach: najpierw przy ulicy Focha 2, a potem przy ul. Królewskiej 16. Od czasu przybycia drugiego posła i do dziś — w pałacu przy ul. Szopena 2-a.

Jest piętrowy pałacyk, zbudowany przed 30 laty zgórą w stylu Ludwika XVI. Moc w nim cennych dzieł sztuki, niezliczone ilości obrazów, wśród których nie brak oryginałów Brandta, Ajwazowskiego i w. i.

Już w hallu widzimy wspaniałą rzeźbę, wyobrążającą ‚Merkurego, t. zw. „Mercure volant", czubkiem stopy odbijającego się od głowy meduzy. Tuż kilka misternie rzeźbionych w czarnym dębie krzeseł. Jasny dąb natomiast cechuje stylową klatkę schodową, także zawieszoną obrazami, a na półpiętrze ozdobioną barwnym witrażem.

Takiż witraż widzimy również w sali stołowej, utrzymanej także w jasnym dębie, jeżeli chodzi o stół, krzesła i boazerje oraz kredensiki i konsolki. Przed witrażem wspaniała rzeźba — oryginał Cypryana Godebskiego: „Porwanie Europy". Obicia ścian z jedwabiu koloru niebiesko-zielonego („vert de paon"). Takiegoż koloru pluszem — wyściełane są krzesła. Oszklony mały kredensik kryje w sobie przedziwnej roboty, pięknie malowany serwis z porcelany miśnieńskiej. Znak „Meissen" również noszą wielkie wazy, jedna do ponczu, druga do kruszonu, utrzymane w stylu biało-błękitnych waz holenderskich z deseniami wschodniemi (kwiaty i ibisy).

Cały fronton parterowy zajmują trzy salony, połączone w jeden. Brak drzwi — oddzielają je jedynie resztki ścian. Oba skrajne są mniejsze, środkowy przerasta wielkością oba tamte razem wzięte. salon po lewej jest utrzymany w jasno-zielonej barwie wody („vert d'eau"), po prawej zaś w odcieniach kremowych. Wszystkie meble w stylu Ludwika XVI o wyściełaniach „Beauvais". W dużym salonie — dwa lustra, a na ich marmurowych blatach wielkie wazy „vieux Rouen" o wielobarwnych chińskich deseniach, z których wykwitają wielkie kandelabry.

Szczególną uwagę zwracają liczne wachlarze pod szkłem, które noszą jeszcze ślady plomby komory celnej z przed półtora wieku zgórą. Są na nich malowidła Watteau, Bouchera i Fragonarda. To bodaj najcenniejsze ozdoby całego pałacu, a rywalizuje z niemi chyba tylko piękny zegar artystyczny, stojący w prawym saloniku na marmurowym blacie kominka — roboty słynnego mistrza paryskiego Boucherela. W kącie dużego salonu — gablota z saskim i sewrskim „bric-à-brac".

Ponieważ państwo Ferid parę lat spędzili na placówce dyplomatycznej w Londynie, więc wśród portretów fotograficznych, opatrzonych własnoręcznemi dedykacjami figurują na pięknych podobiznach: zmarły król angielski Jerzy V i jego małżonka królowa Mary, ministrowie: Henderson oraz Austen Chamberlain i Baldwin, oraz ich małżonki. Na honorowem miejscu — dwa portrety prezydenta republiki tureckiej Kemala z bardzo serdecznemi dedykacjami. Jest także gorąco dedykowany pani ambasadorowej portret Piotra Loti — w uznaniu jej zasług na polu literatury i walki o emancypację kobiet tureckich.

Resztę obecnego składu ambasady tureckiej w Warszawie stanowią: radca Basri Rizan, świeżo dopiero przybyły do Warszawy z małżonką i córką, konsul Wahit Basmadżi, sekretarz Muharren Nuri Birgi, attaché handlowy Baha Erker oraz niedawno przybyły pierwszy attaché wojskowy Turcji w odrodzonej Polsce mjr. Mithat Akczakodża, który wznawia po wielu latach polsko-tureckie braterstwo broni.

H. L.

OBJEKTYW

szuka tematów...





Na prawo: „Ponowa w lesie" — wyróżniona praca p. Włodzimierza Puchalskiego.

Na lewo: „Wiosna" — praca p. Edwarda Czernego, odznaczona nagrodą oraz złotym medalem Polskiego Tow. Fotograficznego w Warszawie.

Upiegła jesień odznaczała się w stolicy wielką ilością różnorodnych imprez artystycznych i kulturalnych.

Oglądała m. inn. Warszawa rozpoczynający się w październiku pierwszy Powszechny Festiwal Sztuki Polskiej.

Na czoło imprez bezsprzecznie, wysunął się X. Międzynarodowy Salon Fotografiki w Polsce.

Oglądamy po kolei zgrupowania zagraniczne: Niemcy, Francja, Włochy, Belgja, Czecho-Słowacja, Rumunja, Węgry, Szwajcarja, Szwecja, Portugalja, Anglja, Austrja, Kanada, Południowa Ameryka, Stany Zjednoczone itd. i na koniec niesłychanie bogata wystawa polskich zdjęć amatorów i zawodowców.

Nagrody zostały przyznane poszczególnym osobom, wystawiającym indywidualnie, a także zgrupowaniom zespołowym danego kraju. Wystawa znalazła pomieszczenie w Kasynie Oficerskiem w Alei Szucha. Przy samem wejściu witały nas odbitki z nagrodzonych zdjęć na konkursie warszawskiej Firmy „Foton". Uderzają tu przedewszystkiem cudowne zdjęcia kwiatów: narcyzy, gwoździki, fiołki alpejskie, dalej nadzwyczaj charakterystyczna głowa męska.

Wielka ilość zdjęć niemieckich, jakże nadzwyczajnie akuratne, precyzyjne, a niebywałą ich ostrość uwypuklają powiększenia z formatów pierwotnie maleńkich i nikłych. Zdjęcia w pełnem słońcu, główki płaczących lub rozbawionych dzieci. Również polskie zdjęcia stoją na wysokim poziomie, n. p. „Motyw wiejski" p. Pawlaka — Katowice, p. Jasielskiego z Poznania i t. d. Pomiędzy zdjęciami kobiecemi amatorskiemi na pierwszem miejscu trzeba wymienić prace pani Zofji Chomentowskiej z Warszawy, prześliczne widoki, wnętrza, typy ludowe. Dalej K. Chrościńskiej, uczennicy zawodowej szkoły fotograficznej w Warszawie. Wielobarwne gumy pani Marji Szypowskiej „Po deszczu", nadzwyczaj naturalne, łagodnie stonowane, miłe. Kolorowych fotografij naogół mało, oprócz powyżej wymienionych widzę jeszcze trzy, niesłychanie subtelne kolorowe przetłoki p. Klemensa Składanka z Warszawy.

„Defilada", oryginalne bardzo zdjęcie prof. Neumanna, jest to rodzaj fotografji znanej fachowcom pod nazwą „izohelji" — temat: żołnierze w marszu, traktowani z k[illegible]pletnym brakiem podkreślenia indywidualności. Z w[illegible]staw zagranicznych najwspanialej przedstawiała [illegible] wystawa węgierska. Zdjęcia te jednak trzeba wsz[illegible]kie bez wyjątku podziwiać. Portrety, maszyny w r[illegible]u, zdjęcia folklorystyczne zawsze jeszcze ciekawe i [illegible]ryginalne, akty, głowy kobiece itd. Aszman Ferenc [illegible] z Debrecsen przedstawił nam zdjęcia bromowe. St[illegible]y Zjednoczone Ameryki nadesłały niezbyt bogatą ko[illegible]kcję, ale zato pierwszorzędny materjał, charakterys[illegible]yczne świetne zdjęcia typowych głów starych ludzi. — Ciekawe były zdjęcia z Indyj: „Wyplatanie mat", „Owoce", „Stado wielbłądów".

Zd[illegible]cia japońskie, jak wszelkie prace tego narodu, uder[illegible]ją swą wypracowaną drobiazgowością. K[illegible]żde z tych zdjęć, to prawdziwa ozdoba wykwintne[illegible] kulturalnego mieszkania, nie ustępująca zupełnie w [illegible]niczem cennym oryginalnym sztychom sławnych arty[illegible]ów...

Zofja Chełmicka.



Na lewo: „Rybak" — odznaczona praca p. M. Krzeczanowskiego.

ROMANS ♥ KRÓLEWSKI



Wojny bałkańskie ostatecznie pozbawiły „Chorego człowieka", jak nazywano sułtana Abdul Hamida, resztek posiadłości w Europie, tak, iż Porta Ottomańska zaczynała się nieomal przed bramami Konstantynopola. Po emancypacji Rumunji, Grecji, Serbji i Bułgarji, po stracie Bośni i Hercegowiny, przyszła teraz kolej na Albanję. Kraj ten, obejmujący dziś 305 tys. kw. km z 750 tys. ludności, stanowił zawsze odrębny etnicznie obszar, który, raz powiększany, to znów zmniejszany, przechodził ciężkie koleje losu. Pomimo wielu bohaterskich walk z Turkami, wielu powstań, z których ostatnie miały miejsce w latach 1831, 1844, 1847, wkońcu 1879, jako protest przeciwko przydzieleniu części Albanji ks. czarnogórskiemu i ks. serbskiemu, — Albanja właściwie tylko raz jeden była wolnem, niezależnem państwem. Było to za panowania narodowego bohatera, Jerzego Kastrioty, syna Jana z Maty i serbskiej księżniczki Wojsawy. Jerzy, zwany przez Turków Skarderbeg (= książę Aleksander) wychowany był przez Turków w wierze Islamu, wrócił jednak do ojczyzny, jako jej mściciel i przyjął zpowrotem katolicyzm. Dzielny wojownik, zdołał on pobić Turków w wielu bitwach, zwłaszcza w r. 1444, tj. wtedy, kiedy na polach Warny nasz król Władysław wraz z swem rycerstwem krwawił dla kultury Europy. Przez trzydzieści nieomal lat Jerzy Kastriota, był niezawisłym panem Albanji, dopiero zdobycie Kroji w r. 1478 dało Turkom panowanie nad krajem. Jak wybitną Jerzy był postacią, świadczy o tem fakt, że papież Pius II, planujący wyprawę krzyżową, jego właśnie upatrzył na jej przywódcę. Jerzy Kastriota oddał swego syna Jana pod opiekę Wenecji, która z racji sąsiedztwa, miała duży wpływ na kulturę kraju.

Upadek polityczny Albanji odbił się na jej wierze i kulturze. Albańczycy, nienawidząc Turków, stali się muzułmanami, którymi pozostali do dziś. Bitne, ciągle wojujące szczepy albańskie, żyjące w ściśle przestrzeganych tradycją obyczajach, zachowały dziwne umiłowanie wolności. Toteż, gdy w przededniu wojny europejskiej po wojnach bałkańskich zebrała się w Londynie konferencja pokojowa, postanowiono stworzyć niezawisłą Albanję. Na tron albański upatrzono niemieckiego księcia Wilhelma zu Wied, rezydującego w Neuwied, mającego bardzo małe kwalifikacje na władcę tak skomplikowanego kulturalnie, politycznie i religijnie państwa. Tron zawdzięczał on zresztą protekcji dworu rumuńskiego, (żona Karola I — Carmen Sylva była z domu ks. zu Wied). Dnia 13 marca 1914 roku książę albański wstąpił na tron, nie wiedząc, że już w kilka miesięcy później, bo w pocz. września, będzie musiał go oddać. Zanim jednak odbył „uroczysty" wjazd do stolicy Tirany, zamówił u jednego z berlińskich malarzy nowy herb dla swego księstwa. Zadanie było o tyle trudne, że większość ludności jest mahometańska, książę był protestantem i niewiadomo było, co miało figurować na koronie herbu: krzyż, czy półksiężyc? Nie chcąc drażnić uczuć ludności, malarz wykombinował... gwiazdę, która odtąd miała przyświecać Albanji. Ale „jasną" jej przyszłość miały też symbolizować nadwyraz efektowne, jasne mundury, które książę kazał już zawczasu zamówić dla siebie i świty. Jak pisze w swych pamiętnikach księżna Ferdynandowa Radziwiłłowa, zdawało się Wiedowi, że krajem można rządzić zapomocą mundurów! Okazało się to jednak wkrótce omyłką.



Powyżej: Narzeczona króla Zogu I. hr. Geraldyna Apponyi w roli Mimi z opery „Cyganerja" na balu kostjumowym w Budapeszcie.
Fot. Michael Lorant.

W kole: Achmet Zogu I, król Albanji.



Piękny fragment Tirany z starą studnią turecką.

Po opuszczeniu kraju przez ks. zu Wied, rządy przeszły w ręce tymczasowego rządu, który ulegając nakazom chwili, zmieniał swe oblicze. Wkońcu w r. 1920 na kongresie narodowym w Lusznie proklamowano zjednoczenie wszystkich Albańczyków, a ministrem spraw wewnętrznych został potomek jednej z najwybitniejszych rodzin albańskich, Achmet Bej Zogu. Ten energiczny mąż stanu, który poprzednio był przez pewien czas oficerem austrjackim i studjował sztukę wojenną w Turcji, jest swego rodzaju Napoleonem Bałkanów, gdyż karjera jego

podobnie, jak Szacha Rezy Pahlawi, szła niezwykle prędkiemi krokami ku wymarzonemu szczytowi. Zgniótłszy rewolucyjne dążności swych wrogów, chcących posługiwać się pomocą Sowietów, Achmet Bej Zogu zostaje prezydentem republiki albańskiej, wkońcu zaś 1 września 1928 roku wybrany przez zgromadzenie narodowe królem Albańczyków, jako Zogu I.

Król Zogu I nie jest jednak awanturnikiem: o ile historyczne momenty mogą w polityce grać rolę decydującą, ma on rzetelne prawo do korony, którą zresztą zdobył własnym trudem. Przodek jego, Zogu, który z Albanji północnej przybył do Maty (Albanja środkowa), w końcu XV wieku, został gubernatorem tego terytorjum. Ten Zogu miał być, według niektórych historyków, krewnym Jerzego Kastrioty, co rzecz, prosta całej rodzinie dodawałoby niezwykłego splendoru. Uzyskawszy uznanie Turcji, jako dziedziczny gubernator Maty, Zogu stał się protoplastą całego szeregu wybitnych mężów stanu, którzy piastowali ten urząd przez kilka wieków. Dżelal Pasza Zogu organizuje w XIX wieku powstanie przeciwko Turkom, zostaje jednak uwięziony w Konstantynopolu. Syn jego, gubernator Maty, Dżemal Pasza Zogu, umiera w r. 1908 i jest ojcem obecnego króla.

Gdy w r. 1928 proklamowano w Albanji monarchję, zgromadzenie narodowe nadało matce nowego króla tytuł „Królowej Matki", coś w rodzaju „Madame Mere", matki Napoleona I, Letycji Ramolino, oraz tytuł „Wysokości" sześciu siostrom króla. Tak więc nowa dynastja zrobiła pierwsze kroki na drodze do utrwalenia swego panowania, ale jak to bywa w takich razach, zaraz nastręczyła się kwestja małżeństwa króla. Wybór był trudny: krążyły przez pewien czas wersje o staraniach króla o jedną z córek króla włoskiego, później wspominano węgierską hrabiankę Mikes de Zabola. Nie jest tajemnicą, że król jest bałkańskim donżuanem, który sprowadzał na swój dwór zarówno tancerki z Folies Bergère, jak też córki naczelników górskich plemion. Stale jednak odznaczał się upodobaniem do pięknych Węgierek. Dużą rolę odegrała w jego życiu bar. Franciszka Janko, która ostatecznie „eksmitowana" z serca króla, popełniła samobójstwo.

I tym razem wybór króla padł na piękną Węgierkę, hrabiankę Geraldynę Apponyi de Nagy Appony, córkę hr. Juljusza i Gladys Wirginji Steuart, z Nowego Jorku. Rodzina Apponyich, jedna z największych i najbogatszych na Węgrzech, stanowi w swej ojczyźnie potęgę polityczną i majątkową. Największym majątkiem jednak hr. Geraldyny nie są dobra materjalne, lecz czarująca uroda, miłe usposobienie i życiowa dzielność. W ciekawym wywiadzie, udzielonym londyńskiemu „Daily Express" hr. Apponyi oświadczyła, że zanim jeszcze poznała obecnego narzeczonego, podziwiała jego czyny i walkę dla ojczyzny, gdyż porządkując bibljotekę w rodzinnym zamku Appony, spotkała się nieraz z pismami czy książkami, mówiącemi o tym dzielnym człowieku. Następnie, za namową sióstr króla przyjechała na dworski bal noworoczny do Tirany i poznała króla. Odtąd obustronna miłość robiła szybkie postępy.

Panna Geraldyna do niedawna jeszcze, jako skromna urzędniczka sprzedawała w Muzeum Narodowem w Budapeszcie ilustrowane pocztówki turystom. Mieszkając u swej ciotki hr. Adeli Apponyi, prowadziła dosyć ciche życie, w którem nie było wielkich chwil. Jednem z niewielu ciekawszych wspomnień był bal w Operze budapeszteńskiej, na którym w żywych obrazach wystąpiła jako Mimi z „Cyganerji" i tak dalece podbiła serca obecnych na sali dyrektorów teatru, że otrzymała wkrótce kilka propozycyj wstąpienia na deski sceniczne. Ale hr. Geraldyna nie miała nigdy ambicyj scenicznych, przedkładając nad nie życie rodzinne.

Na prawo: Król Zogu wraz z pięcioma siostrami na wycieczce w okolicach Tirany.
Fot. Michael Lorant.



W kole: Willa króla albańskiego nad jeziorem Skutarskiem.



Poniżej: Ulice Tirany nie przedstawiają się zbytnio po wielkomiejsku, zachowując po dziś dzień wschodni wygląd.



— Moje nadzieje zdążają w tym kierunku, aby Albańczycy czcili króla Zogu tak, jak to czynią wobec pamięci bohaterskiego Jerzego Kastrioty — oświadczyła młoda Węgierka jednemu z dziennikarzy angielskich. Nie dopowiedziała zapewne, że zamierza mu być w tem pomocną i że u boku tego energicznego człowieka starać się będzie zyskać miłość swych nowych poddanych. Dużą trudność zapewne będzie tu stanowić różnica religji u króla mahometanina i królowej katoliczki. Wątpliwości też w tym kierunku były powodem, dla których poprzednia kandydatka do stanowiska królowej, hr. Mikes de Zabola, nie zdecydowała się na zamążpójście. Ale podobno i z punktu widzenia politycznego małżeństwo to jest poważnym „coup d'état" swego rodzaju, gdyż Włochy miały, według niektórych pogłosek, jakoby czuć się dotknięte tem, że król nie zdecydował się na małżeństwo z ks. Marją di Savoia, najmłodszą córką Wiktora Emanuela III. Należy jednak przypuszczać, że ta ostatnia wersja jest podyktowana raczej pewną manją wielkości Albańczyków.

Niedawno temu narzeczona królewska przybyła do Tirany i przedstawiona została parlamentowi albańskiemu, który przyjął ją nader serdecznie, a król nadał tytuł księżniczki. Tak, w 10 rocznicę ogłoszenia królestwa albańskiego, a dwudziestą piątą ogłoszenia niezawisłości, małżeństwo króla stanie się pamiętną chwilą ustalenia stanowiska młodej dynastji. Wkrótce 22-letnia urzędniczka Muzeum Budapeszteńskiego będzie mogła się przekonać czy jest jej również dobrze do twarzy w stroju królowej, jak w biedermeirowskiej sukience w roli Mimi...

Jan Maleszewski.



CARMEN NIEŚMIERTELNA

Gdy Bizet przedłożył swą operę „Carmen" ówczesnemu dyrektorowi Opery w Paryżu, Rogerowi du Locle, ten zgodził się odrazu na jej wystawienie, chociaż oświadczył kompozytorowi: „Nie rozumiem tej muzyki, brzmi ona dla mnie jak indyjska". A gdy ówczesny premjer zażądał loży na premjerę, dyrektor poprosił go o przybycie na próbę generalną, by przekonał się, czy może przyjść na przedstawienie z swą żoną i córką.

W roku premjery — 1875 — „Carmen" była najbardziej niemoralną operą epoki. Nie jest prawdą, jakoby dzieło Bizeta padło na premjerze i jakoby część publiczności opuściła teatr przed końcem spektaklu. Premjera przeszła bez wrażenia, a krytyka była bardzo nieprzychylna.

Niewątpliwie ówczesnych Paryżan zrażało libretto opery, opracowane przez Muilhaca i Ludovica, które na ówczesne czasy było niemoralne i nosiło posmaczek skandalu. Dzień przed premjerą Bizet został odznaczony orderem, a wrogowie jego mówili, że dlatego odznaczono go przed premjerą, gdyż po premjerze odznaczenie to byłoby już niemożliwe.

Na premjerze tytułową rolę odśpiewała Galli Marie, bardzo lubiana artystka, która jednak oburzyła poczciwych mieszczuchów paryskich żywiołowem oddaniem roli Carmeny. Śpiewaczka ta mocno też dokuczyła kompozytorowi, który musiał dwanaście razy zmieniać dla niej słynną „habanerę". Dopiero za trzynastym razem zgodziła się ona śpiewać zmienioną melodję i tekst. Sławny krytyk Ladenvais pisał o jej kreacji w „Revue des Deux Mondes": *Carmen jest jakiemś dzikiem stworzeniem, bez uczuć ludzkich, wiecznie goniąca za miłosnemi przygodami, stworzeniem budzącem odrazę i litość.*

I o samej operze nie wyrażano się wcale pochlebnie — dosłownie nie zostawiono na niej suchej nitki. Paul de Saint Victor pisał w „Moniteur": *Pan Bizet jest epigonem twórczości Wagnera, ale od swego mistrza odbiegł daleko — brakiem talentu i twórczej inwencji.*

Mimo jednak nieprzychylnego przyjęcia przez krytykę, wystawiono Carmen 40 razy w pierwszych trzech miesiącach, co na ówczesne czasy było rekordem. Ostatnie przedstawienie odbyło się 3 czerwca 1875, w dniu, w którym zmarł nagle Bizet, liczący zaledwie 37 lat. Nie danem mu było doczekać się światowego triumfu swego dzieła. Tymczasem paryska „Opera Comique", nie będąc podówczas teatrem państwowym, popadła w trudności finansowe i dlatego dopiero w r. 1883 Paryż ujrzał znowu „Carmen" na scenie. Dodano w akcie III balet, co było koncesją na rzecz ówczesnego gustu publiczności. Sukces, jaki odniosła opera, przeszedł wszelkie oczekiwania. Nowi krytycy — nowe recenzje — inne nastawienie publiczności. Prasa przypomniała dzieje narodzin wielkiego dzieła Bizeta. Pisano wiele na temat trudności, jakie miał kompozytor z pogodzeniem aspiracyj wykonawców z wymogami libretta i partu orkiestralnego. Sławna arja torreadora w II akcie musiała być kilkakrotnie przez Bizeta zmieniona, ponieważ popularny baryton paryski Bouche, który na premjerze „Carmen" śpiewał Escamilla, domagał się od niego czegoś efektownego. Zirytowany kompozytor odezwał się wkońcu do niego: *„Chcesz mieć świństwo — będziesz je miał!"*. Tem „świństwem" jest słynna dziś w całym świecie arja torreadora, skomponowana w ciągu zaledwie kilkunastu godzin.

Mademoiselle Chapois, odtwarzająca Micaelę na premjerze, była jedyną, która zyskała niepodzielne sympatje krytyki i publiczności. Zawdzięczała to przedewszystkiem charakterowi swej partji oraz wyjątkowej urodzie. Niemało kłopotu przysporzyło Bizetowi obsadzenie partji Don Josego. Śpiewać ją miał tenor bohaterski Baginot, który jednak w dniu premjery pośliznął się i zwichnął nogę. Równocześnie z nim studjował tę rolę młodziutki, 23 lat liczący wówczas tenor Józef Lherie (zmarły przed paru tygodniami), któremu nawet się nie śniło o tem, że przypadnie mu zaszczyt śpiewania na premjerze. Na dwie godziny przed przedstawieniem odszukał go w jakiejś kawiarence dyrektor opery du Locle i zawiózł do teatru. Po pozbyciu się początkowej tremy młody artysta rozśpiewał się i zdobył duży sukces, zwłaszcza u płci pięknej.

Dla Francji „Carmen" pozostała lekką i melodyjną operą. Fakt, że gdzieindziej interpretują „Carmen" odmiennie, budzi tam zdumienie, szczególnie, iż rola Carmen bywa poza Francją śpiewana przez dramatyczne soprany (które nie są angażowane przez Operę Komiczną w Paryżu, bo niema tam dla nich odpowiednich ról). Galli Marie była lekkim mezzosopranem i na taki głos Bizet skomponował tytułową partję swego arcydzieła.

Opera „Carmen" zdobyła na całym świecie wyjątkowe powodzenie. W r. 1904 odbyło się w Paryżu tysięczne przedstawienie z udziałem słynnej wówczas pary śpiewaczej: Emmy Calve — Enrico Caruso w rolach głównych. W bieżącym roku Paryż święcić będzie jubileusz 2500-ego przedstawienia „Carmen", która i w innych krajach bywa wystawiana kilka razy do roku

Muzyka tej opery jest naprawdę genjalna. Począwszy od pierwszego taktu uwertury, porwani jesteśmy olbrzymim jej temperamentem i zmysłowym żarem melodyj.

Bizet, będąc znakomitym znawcą głosu ludzkiego, stworzył w swem dziele arje, które dawały i dają śpiewakom i śpiewaczkom świetne pole do wokalnego popisu. Rola główna Carmeny — to ideał nie tylko mezzosopranów, ale i sopranów dramatycznych, które ostatnio coraz częściej je odtwarzają. Również partja Don Josego rozwija przed interpretatorem wiele możliwości i to zarówno pod względem samej techniki śpiewaczej, jak i gry aktorskiej. Role Micaeli i torreadora są już więcej drugoplanowe. Dzięki jednak swym popularnym arjom, publiczność nagradza ich wykonawców rzęsistemi oklaskami.

Przez „Carmen" szereg nazwisk śpiewaków i śpiewaczek stało się sławnych na szerokim świecie. Emmy Destinn, Geraldina Ferrar, Marja Jeritza, Enrico Caruso, Giacomo Lauri Volpi, Leon Slezak, Mattia Battistini, Tita Ruffo — oto niektóre z nich. Również i w Polsce należy „Carmen" do oper bardzo lubianych i często granych. — Wielu polskich śpiewaków i śpiewaczek zabłysnęło talentem właśnie w tej operze. — Dawni bywalcy sal operowych pamiętają jeszcze w roli Carmeny i Micaeli, Sembrich-Kochańską, śpiewaczkę polską o światowym rozgłosie i partnerkę Carusa, która niedawno zmarła w Nowym Jorku jako wysoko tam ceniona profesorka śpiewu, dalej Janinę Korolewicz-Waydową, Irenę Bohus-Hellerową, Wandę Lachowską, Gołkowską i inne. Obecnie słynie w tej partji Wanda Wermińska, której nazwisko dzięki „Carmenie" stało się głośne i poza granicami Polski. Z pośród wykonawców roli Don Josego, najbardziej idealną postać stworzył sławny nasz tenor Myszuga. Niemniej znakomitym był w tej partji Jan Reszke, ujmujący ją jednak bardziej bohatersko. Dygas, Gruszczyński, Stępniowski, a ostatnio mistrz Kiepura chętnie partję tę śpiewają. Znanym był też w roli Don Josego Szlaffenberg, tenor opery lwowskiej, obdarzony fenomenalnym głosem. Wskutek jednak nadmiernego używania alkoholu karjera jego szybko się skończyła. Pozostało po nim wspomnienie dowcipnego występu przed kurtyną w Stanisławowie, gdzie Szlaffenberg śpiewał w „Carmen" mocno podchmielony. Na gwizdy i okrzyki protestu publiczności odezwał się do niej temi słowy: *„Proszę państwa! Jeżeli artysta taki jak ja przyjeżdża do Stanisławowa, to musi być albo warjatem, albo pijanym. Ja wybrałem to drugie"*. W parę tygodni potem Szlaffenberg umarł na delirium tremens w szpitalu lwowskim.

* * *

Twórca „Carmen" urodził się 25 grudnia 1868 r. w Paryżu jako syn profesora śpiewu jednej z tamtejszych uczelni muzycznych. Młodość swą spędził w małej mieścinie Bougival pod Paryżem. Już jako 8-letni chłopiec uczy się gry na fortepianie i zwraca na siebie uwagę profesorów talentem odtwórczym i zdolnościami kompozytorskiemi. Szybko też zdobywa liczne nagrody, które pozwalają mu na spokojne kontynuowanie studjów, zwłaszcza w ulubionej przez niego klasie kompozycji głośnego wówczas kompozytora Halvy'ego (autora opery „Żydówka"). Wybitne zdolności Bizeta przynoszą mu „Prix de Rome". Dzięki tej nagrodzie i prywatnemu stypendjum, udaje się on do Włoch, celem pogłębienia wiadomości muzycznych. Już z Medjolanu przysyła do Paryża swą pierwszą operę p. t. „Le docteur Miracle", wystawioną przez operę w Monte Carlo. Po powrocie z podróży debiutuje w Paryżu na scenie Opery Komicznej, wystawiając „Poławiaczy pereł". Sukces był nieznaczny, podobnie jak i następnej jego opery „Djamileh". Niezrażony niepowodzeniem, pisze słynną swą suitę „Arlesienne" i ta przynosi mu olbrzymi sukces, grana natychmiast zagranicą. Również i trzy symfonje oraz szereg pieśni cieszą się dużem powodzeniem. Bizet ożenił się z córką swego mistrza, Eugenją Halevy. Nagła jego śmierć w 1875 r. wywołała stosunkowo małe wrażenie, bo wówczas największe dzieło jego żywota, nieśmiertelna „Carmen", jeszcze świat nie zdobyła. Dopiero w r. 1900 złożono hołd pamięci Bizeta, wystawiając popiersie znakomitego kompozytora w foyer Opery Komicznej.

Ol. St.

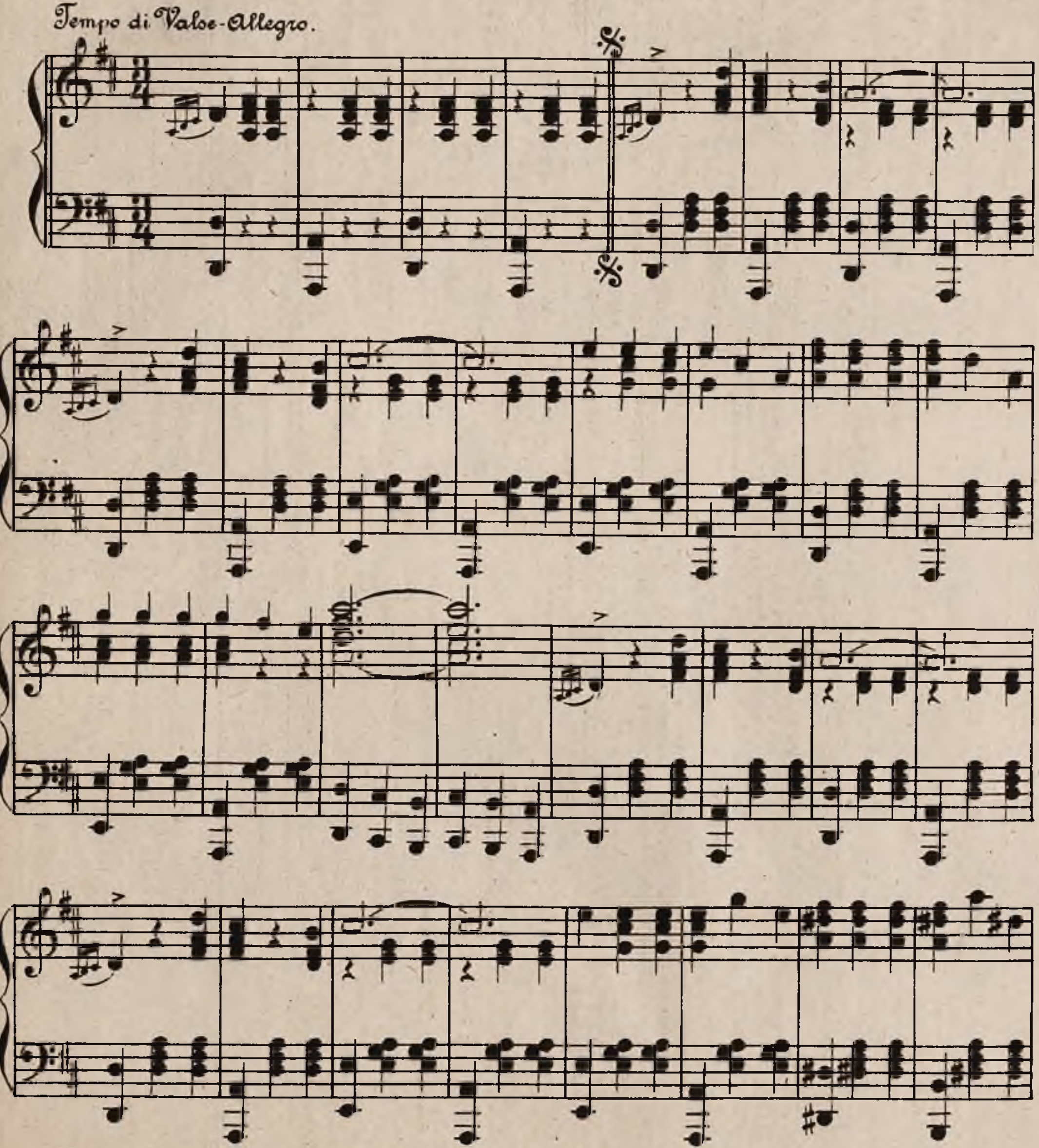


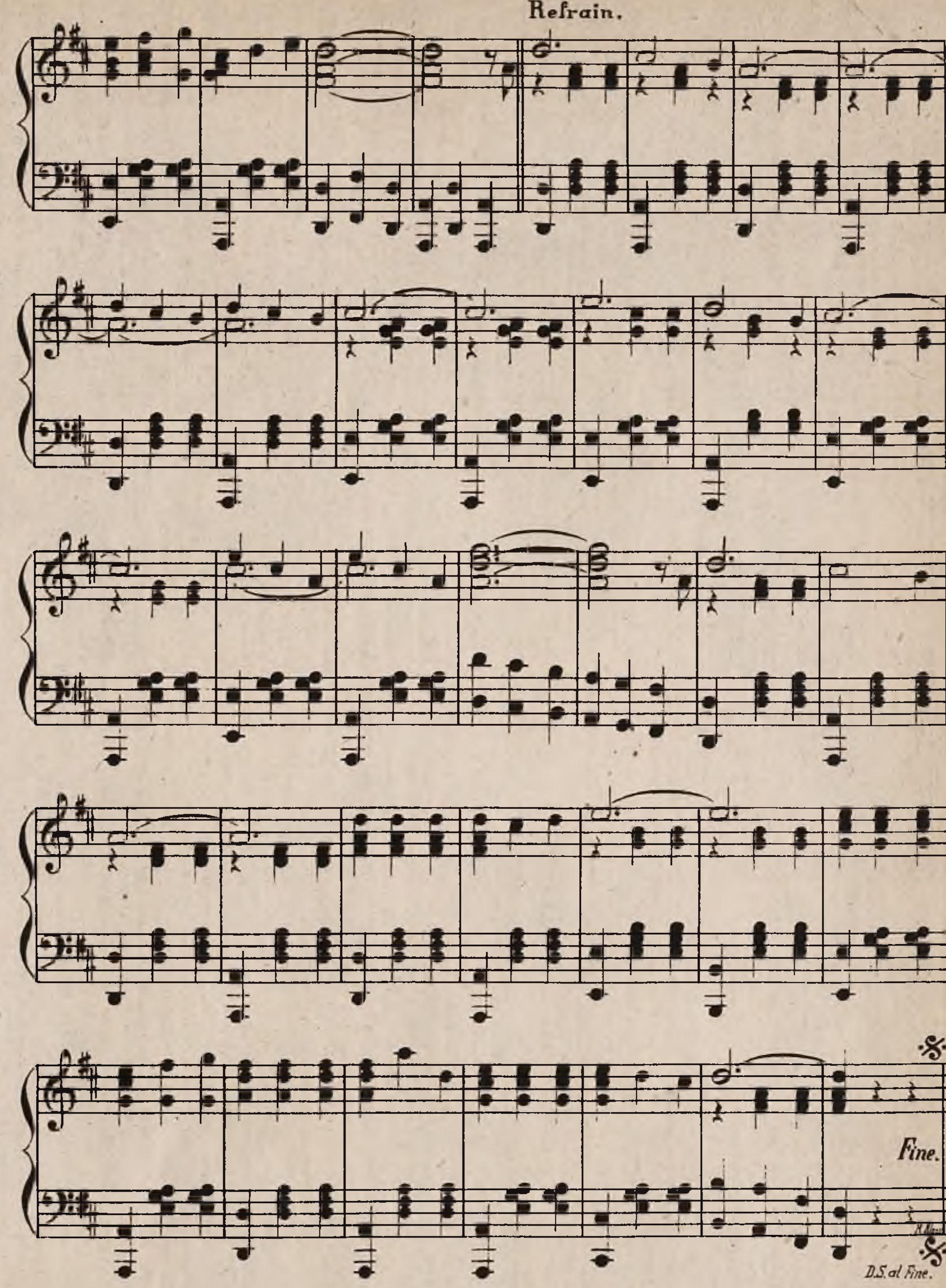
BITWA O ŚWICIE

Bal maskowy

WALC SKOMPONOWANY NA ZABAWĘ
SYNDYKATU DZIENNIKARZY KRAKOWSKICH

HENRYK MARMOR





Fatalna PRZEGRANA

★

ANNA PRUSZYŃSKA

NOWELA

Pan Tomasz Pouce niechętnie zasiadał do zielonego stolika: nie miał bowiem szczęścia do kart.

Ot, pech, nic więcej...

Jakby nie było, dla urzędniczej kieszeni, to rzecz niezdrowa.

— Głupstwo — pocieszali go domyślnie koledzy — w grze nieszczęśliwy, w miłości bywa szczęśliwy... A TO JEST GRUNT!...

Pan Tomasz milczał i z tajemniczym uśmiechem przegraną płacił.

Tak. Jasne było, że fakty życia mają dla każdego dwie strony: dobrą i złą. Chodziło o to jedynie, by skwapliwie wyzyskać dobrą, nieprzychylnej w miarę możności unikać. Pan Tomasz tej zasady się trzymał i w wyniku był stale zadowolony, martwić się nie umiał wcale; jego maksymą życiową być musiało owo czysto paryskie: „Faut pas s'en faire!", które wszelki frasunek odrzuca lekko i strzepuje, jak pył z ubrania.

Nazywano go pospolicie Monsieur Tom Pouce i wszędzie go chętnie widziano. To też pełno go było wszędzie: dobroduszny i stale rozpromieniony, ruchliwy, żywy jak srebro zawiązywał prędko węzły przyjaźni i stawał się odrazu starym znajomym. Kochał Paryż i Paryż także darzył go przyjaznem uczuciem: zgrani byli przecież od lat, wielki Paryż i mały Pouce, tak życi z sobą, jak z macierzystą rzeką ziarnko żwiru, jak źdźbło trawy z rodzimym borem.

To też pan Pouce rzadko kiedy wychylał się z Paryża. Latem bywało, gdy wysyłał żonę na podmiejską wilegjaturę, co najwyżej do rodzinnego Corbeil, w Seine et Oise, sam zaś spędzał swój urlop w mieście. Miasto to czarowało go sobą, latem jak zimą, w rozkwicie wiosennych dni jak w szarugach mglistych jesieni, w blasku słońca, jak pod jaskrawemi łunami swych reflektorów, tu i tam, tam i tu, — niby drobne ziarenko żwiru powolne fali, toczyło się z domu do biura, z biura do cukierni na „czarną", wzdłuż „Quai" Sekwany i wzdłuż nieskończonych linij bulwarów, od placu de la Bastille do placu de la Madelaine, od ustroni Bulońskiego Lasku do ustroni małych „boites" na Montmartre... to tu, to tam — po co? — za co? — dlaczego?... z kim? — o tem wiedzieli tylko ONI, Paryż i Pouce.

Trzecim druhem bywało biuro: jest tak łatwo powiedzieć żonie: „Nie czekaj dziś na mnie kochanie, mam właśnie zebranie związku, tego, co to wiesz..." Nie, pani Lolotte nie wiedziała, ale może uwierzyła wkońcu, że wie... Bo pan Tom umiał pomnażać tak naturalnie różne zebrania, walne zgromadzenia, posiedzenia, różne imieniny dyrektorskie, rocznice, zastępstwa kolegów, zestawienia rachunków miesięcznych, sprawozdania, wieczorne dyżury, zrzeszenia członków i tym podobne niezmiernej wagi przyczyny, zatrzymujące go poza domem... umiał tak od niechcenia wyrazić nieraz, że ma tego powyżej głowy: „Oh! Quelle guigne!..." Któraż żona potrafiłaby tutaj wątpić?

I miałaby rację bezwiednie, bo w życiu znaczy intencja, a intencje pana Pouce były szczere, najszczersze w świecie: za wysoko ceni w życiu s p o k ó j ż y c i o w y, niemniej cudzy jak własny spokój, by narażać na najmniejszy szwank te wartości: mały paryżanin pan Pouce miał poprostu kocią naturę — nietyle dwulicową, rzec można, ile podwójną: choć miłował w ramach Paryża swe drogi własne, niemniej kochał w ramach swego za ciasnego mieszkanka ciepło domowe, ów niewysłowiony urok własnego h o m e'u, którego duchem była jego maleńka Lolotte. Między nimi było tylko owo niedociągnięcie — drobne napozór, ale w dystansie niezmierne — które oddziela typowego Paryżanina od najwięcej bodaj odbielonej gąski prowincji. Poza tem jednem, pani Lolotte posiadała w oczach mężowskich swe niewątpliwe, silnie przywiązujące walory, a była tak prawdziwie swojska, domowa, gdy z wesołą piosnką na ustach rządziła swem mikroskopijnem gospodarstwem, taka przytulna, gdy zasiadała pod umbrą lampy wieczorem ze swą robótką drucianą! Powierzone jej pulchnym rączkom mieszkanko wyglądało jak bombonierka: każde „sou" włożone w te rączki, wydawało obfity plon, a umiały te paluszki szyć i haftować, cerować w sposób misterny, niedostrzegalny poprostu; umiały w razie czego fachowo przyłożyć kompres, postawić bańki, delikatnie masować skronie; umiały jeszcze, — i to było może najcenniejsze — przyrządzać smakołyki nieporównane, których sekret od babek prababek przechował się w zapadłych głębiach prowincji! Taką „Remoulade" — albo, nie dalej biorąc taką „Crême Savayou"! Palce lizać!... Nie podadzą ci tego w żadnej restauracji paryskiej — mówiła z dumą, a pan Tom przymrużał oczy z uznaniem: czuł się faktycznie w tej chwili o niebo wyżej Paryża... z rozkoszą zapalał fajeczkę już zawczasu starannie napchaną tytoniem i popijał sobie wolno pachnącą kawę — nektar bogów — śledząc czule, spojrzeniem władcy, krzątającą się Lolotte... U jej boku, w swej miękkiej piżamie, w haftowanych przez nią pantoflach, przeobrażał się w domatora i był nim szczerze, był nim z lubością... — do czasu.

Bo w odmierzonych podstępnie okresach czasu, w przestrzennych ramach huczącego dniem i nocą Paryża, czekała zawsze gotowa do wspólnych wypraw Bouboule wyglądała, jakby niosła swą młodość w ofierze. A miała właściwy sobie sposób tak pieszczotliwego modulowania: „A może pójdziemy „tam"... a możebyśmy to...." że „tam" lub „to" stawały się wnet szczytem marzeń, jedyną rzeczą na świecie, wartą zachodów... Bouboule, towarzyszka wybrana, wprost wymarzona, zawsze żądna wrażeń i przygód... Bouboule, wcielony szyk wielkich stolic, powab ulic przemierzanych we dwoje, czar schadzki, urok swobody. Bez niej martwym stałby się Paryż, jak zgasłby urok domowy, gdyby w domu nie było Lolotte...

Było dobrze — nie mogło być lepiej... opuszczając swe ognisko domowe, pan Tom składał swe domatorstwo na progu i zagłębiał się w nurt Paryża tanecznym krokiem, nucąc z cicha swą ulubioną piosenkę:

Trzeba było tej fatalnej wygranej...

Wkońcu przyszło nieszczęście: z biura udało się wyjść Tomowi trochę wcześniej, zaciągnął go kolega do klubu. Do obiadu był jeszcze czas na partyjkę... tylko na jedną... no trudno: człowiek da się czasem namówić: dla kompanji, jak to się mówi... Potem zdziwił się niemało, że wygrał! Przyjął rewanż i znowu wygrał! Doszło do robra... a potem jeszcze do robra... zmieniło się kilku partnerów, on pozostał. Wygrywał, ciągle wygrywał.... mógł tak łatwo zatelefonować do żony... wciągnęła go gra, możliwość odwrócenia się karty trzymała go jak kleszczami... Ot! krótko mówiąc: jak Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbierze!

To, co potem nastąpiło, było poprostu koszmarne...

Wracał do domu trochę zmęczony. — Sześć godzin brydża! — lecz wesół i dobrej myśli. Lolotte niepokoiła się może, lecz teraz telefonować nie warto, już śpi napewno i mogłaby się przestraszyć... odda jej całą wygraną i dobrze będzie... Tyle razy mu wymawiała, że przegrywał! Sama zrozumie, że trzeba było skorzystać... a miał dziś wyjątkowo tak dobre karty...

Otworzył cichutko zatrzask i po ciemku minął przedpokój, nie wiele większy od szafy... drzwi sypialni stały otworem. Znalazł kontakt:

Lolotty na otomanie nie było.

Lolotty nie było nigdzie.

O północy...

Blady z przerażenia pan Pouce rozejrzał się teraz wokoło, nie poznawał nagle swego mieszkania... drzwi poodchylane jak po ucieczce... wszędzie rozrzucone trzewiki, część odzienia, wszędzie pootwierane szuflady... zdrętwiał cały na myśl o napadzie bandytów...

Odetchnął z ulgą, ujrzawszy na stole list zaadresowany do niego ręką Lolotty. Drżącą ręką rozdarł kopertę...

Kilka słów tylko:

„Wracam do Ciotki w Corbeil. Bądź szczęśliwy ze swoją Bouboule".

Och! — wyszeptał pobladłemi wargami pan Tom, usuwając się w ramiona fotela.

Lecz w tejże chwili poderwał się znów na nogi: w pokoju zadzwonił ostro telefon:

— Hallo hallo! — zapytał kobiecy głos — czy to mówi pan Tomasz Pouce?

— Jestem — odpowiedział machinalnie pan Pouce i nogi się pod nim ugięły...

Sekundę trwało milczenie — jakby tamten głos, zawieszony na końcu drutu, zbierał się w sobie:

— A więc tak? — przemówił po chwili: Z kimże to więc pan, panie Pouce udawałeś dziś kawalera? Więc nazywasz się poprostu pan Tomasz Pouce i masz żonę... Lepiej byłoby cię nazywać Voyou d'Pouce! i posypał się grad tak nieparlamentarnych inwektyw, że struchlały do reszty pan Tom wypuścił z ręki słuchawkę...

Bezsenna noc posłużyła do rekonstruowania dramatu: żona musiała zatelefonować do biura... potem zaczęła radzić się sąsiadki i przyjaciółki... Och! te przyjaciółki, sąsiadki! Och! to całe Faubourg Saint-Antoine! Istna prowincja... poprostu wpadł! i jak!....

Na tem się kończy historja, a raczej tylko przerywa.

Pan Pouce spędza odtąd przy stole brydżowym wszystkie chwile wolne od pracy.

Tkwi tutaj, jak na dnie studni, oddzielony od świata żyjących ludzi magicznem kołem słów, które zdają się czas wymierzać równomiernemi uderzeniami małego młotka.

„Bez atu" „pas" „licytuję" „kontra" „pik" „bez atu" „pas" „Licytuję dwa" „bez atu" „pas" „licytuję" „pas"....

Pan Pouce przygląda się swoim kartom, nuci przez zęby swoją odwieczną piosenkę: „Tout n'est dans ce bas monde (qu'un jeu, qu'un jeu...".

Uśmiecha się tajemniczo, skrzętnie składa swe małe wygrane... może przecie odwróci się kiedyś karta... może przecie Lolotte zrozumie...

Nie! Zrozumieć to nie zrozumie. Ale powróci, ale bez zrozumienia, kiedyś przebaczy.

— A Bouboule? — spyta może ktoś nieoględnie?

— Oh! Vous en faites pas! — odpowiedziałby niefrasobliwie pan Tomasz Pouce.

Oczywiście. Paryż jest wielki.

—o—

Pani u siebie w domu...



W kole: Simone Simon w oryginalnym stroju porannym reprezentuje wdzięk i urok prawdziwej Paryżanki.
fot. Polonsky — Hollywood.



Pesymiści twierdzą, że dom w życiu nowoczesnej rodziny stracił całe swe znaczenie, a tem samem i urok. Że stał się conajwyżej mieszkaniem, t. zn. miejscem przeznaczonem na to, aby się wygodnie przespać pod dachem, ewentualnie spożyć w niem niektóre (tyle się przecież jada dziś w restauracjach!) posiłki i mieć gdzie zdeponować swoje rzeczy. Pozatem przebywa się w domu możliwie jaknajmniej. Zdaniem tych panów czy pań, patrzących na dzisiejszość przez czarne okulary, dom został na całej linji zwyciężony przez publiczne lokale, przez kluby, no i przez miejsca pracy. Mężczyźni zawsze przebywali z konieczności większą część dnia poza domem, z racji swej pracy zawodowej, ale kobiety żyły niemal wyłącznie dla domu, nadawały mu swoiste piętno prawdziwego „home'u", starały się o jego ozdobę i wzorowe utrzymanie. To też i panowie chętnie do niego wracali, aby w jego przytulnej i rodzinnej atmosferze spędzić wolne od pracy chwile...



Ani nie było tak dobrze „in illo tempore", ani nie jest tak źle dzisiaj. Jedno jest prawdą bezsporną: wiele kobiet musiało wyrzec się funkcji westalek domowego ogniska na rzecz swej pracy zawodowej, społecznej czy naukowej. Ale czyż dom stracił przez to dla nich na wartości? — Przeciwnie, wracając do niego po pracy, oceniają i odczuwają specjalnie silnie jego urok. Nawet te, które lubią spędzać wieczory w kawiarniach, teatrach, kinach czy barach — oceniają urok miłego wieczoru spędzonego w domowem zaciszu — przynajmniej od czasu do czasu. Chociaż znacznie mniej kobiet niż przed wojną może większość dnia poświęcać na zajęcia gospodarskie i na haftowanie poduszek, serwetek i „patarafek" ku upiększeniu swego „home'u", wymogi estetyczne co do naszych mieszkań bynajmniej nie zmalały, a przybrały znacznie racjonalniejszy kierunek.

Nadmiar ozdób zastąpiliśmy wolną przestrzenią, powietrzem i światłem, ciężkie i zbyt liczne meble — kilkoma prostemi, celowemi w swej konstrukcji a szlachetnemi w linji sprzętami, na tle których każdy artystyczny drobiazg czy pęk kwiatów w nowoczesnej czarze — wybija się harmonijnym akcentem.

A kobieta i dziś nie przestała być panią swego domu w całem tego słowa znaczeniu, jego dopełnieniem i największą ozdobą. O jego atmosferze i estetycznym wyglądzie nadal decyduje jej dobry smak, jej inteligencja i zmysł artystyczny. A podczas kiedy dawniej donaszała przeważnie w domu stare i przyniszczone, czy niezbyt już modne suknie, lub zbyt „bogobojne" i praktyczne (wymagały tego wszak zajęcia gospodarskie!) szlafroki à la Madame Dulska, dziś — będąc zmuszona przez dzień w swej pracy zawodowej ubierać się przeważnie skromnie i praktycznie — korzysta z chwil, które spędzić może w domu, aby ubrać się jaknajładniej i jak najstrojniej.

Wydaje się to może paradoksalne, ale właśnie teraz, kiedy życie nowoczesnych kobiet zmusza je do przebywania tak wiele za domem — strój domowy zyskał na znaczeniu i jest przez większość pań specjalnie faworyzowany. Któraż z nas nie zna i nie docenia przyjemności zrzucenia po powrocie z biura swej szarej, codziennej „skóry" i przebrania się w miękki, strojny tea gown, czy ozdobną pidżamę — podkreślające





Stylizowany na wzorach japońskich, jest też piękny negliż, noszony z nieporównanym wdziękiem przez gwiazdę amerykańskiego filmu Sigfryd Gurie.
fot. Polonsky — Hollywood.



Poniżej: Na nocną strojną koszulę z crêpe satin, aplikowaną koronkami, narzuciła piękna Dorothy Lamour, wspaniały poranny żakiecik z puchu łabędziego.
fot. Polonsky — Hollywood.



Na prawo: Wspaniały szlafrok z ciężkiego jedwabiu, bogato złotem haftowany, podkreśla szlachetną urodę Loretty Young.
fot. Atlantic — Berlin.

ność linji zachowaną przy każdem poruszeniu. Wielu kobietom jest ona wrodzoną, ale i te, które natura obdarzyła kanciastością i szorstkością ruchów, mogą nabrać pewnej gracji i dystynkcji, jeśli zechcą przy pomocy odpowiedniej gimnastyki i samoopanowania, skorygować wrodzone błędy.

Lady Like.



Na lewo: Chiński kaftan z surowego jedwabiu tworzy poranny strój pięknej pani; jak widzimy, jest w nim Ann Sheridan bardzo do twarzy.

Na prawo: Efektowny tea-gown z jedwabnego aksamitu, nadaje się na przyjęcia domowe w gronie bliskich znajomych.



naszą kobiecość i wdzięk! Nie jest to jednak negliż we właściwem tego słowa znaczeniu.

Domowy strój dzieli się dziś na dwa zupełnie odrębne rodzaje: strój poranny, będący właściwym negliżem i przeznaczonym dla tych kobiet, które mają czas na noszenie go w pierwszych kilku rannych godzinach — i na strój domowy, będący czemś pośrednem między negliżem a strojną suknią. Pierwszy typ, to kokieteryjne „saut de lit" z przejrzystych jedwabi, koronek, puszku czy nawet futra, bo strój utrzymany z reguły w pastelowych kolorach, zachowujący szereg cech bieliźnianych, przeznaczony do noszenia na nocną koszulę i stanowiący niejako jej uzupełnienie.

Strój domowy, to tea-gown, czy pidżama z ciężkiego jedwabiu, aksamitu, brokatu lub lamy, mniej od porannego frywolny, a zato bardziej reprezentacyjny w swym ogólnym charakterze. Naśladuje on modę zdaleka, zachowując jednak dużo autonomicznej swobody. Stanowi on wdzięczny temat dla pomysłowości i fantazji mistrzów mody — pozwalając na wiele ekscentryczności, które nie uszłyby tak łatwo w stroju przeznaczonym na ulicę czy na wieczór w publicznym lokalu.

Tegoroczne rewje modeli sukien domowych pokazały nam dobitnie, że w szukaniu nowych pomysłów w tej dziedzinie paryska „haute couture" sięga coraz chętniej do wzorów historycznych, stylowych. Pokazano nam wspaniałe „robes'y" z sztywnych jedwabi, spływające z tyłu luźną linją od ramion i przechodzące w mały tren, jak na osiemnastowiecznych obrazach Watteau. Demonstrowano i skromne, b. wdzięczne suknie domowe z miękkiego sukienka czy aksamitu, ozdobione przy małem wycięciu i przy rękawach delikatnemi riuszkami.

Modne są również drapowane na wzór antycznych posągów tea-gowny z miękkiego, białego kaszmiru, podobne do rzymskich peplum — szlachetne w linji, lecz nadające się tylko dla kobiet wysokich, smukłych. A obok nich, moda faworyzuje jakby dla kontrastu b. eleganckie i sex-appealowe domowe suknie z czarnego cienkiego sukienka, z długiemi rękawami i sięgające skromnie pod samą szyję, lecz zapięte z przodu na złoty zamek błyskawiczny, sięgający jedynie do kolan, poniżej których suknia otwiera się swobodnie, ukazując nogi.

Rozmaitość w dziedzinie strojnych sukien domowych jest ogromna. Cała rzecz polega na tem, aby każda kobieta umiała sobie zdać sprawę, jaki typ negliżu odpowiada jej właściwemu stylowi i jej warunkom fizycznym. Sporting-girl będzie się najlepiej czuła w pidżamie, toteż choć właściwa moda na ten strój nieco już przebrzmiała, jednak do dziś posiada ona liczne zwolenniczki, które najlepiej czują się w spodniach. Jeśli naprawdę ładnie w tem wyglądają, nie będziemy ich nawracać na bardziej kobiecy, ale trudniejszy do noszenia tea-gown.

Tak, z tego też trzeba sobie zdać sprawę, że strojna suknia domowa powłóczysta, pięknie zdrapowana, często przechodząca w tren, wymaga bardzo harmonijnych ruchów, jeśli ma osiągnąć swój pełny estetyczny efekt.

Zbyt żywa gestykulacja i zamaszyste kroki nie harmonizują z draperjami à l'antique czy à la Watteau. Nie chodzi o sztuczną pozę czy zmanierowane ruchy, ale o szlachet-

PORANNA GIMNASTYKA



Ćwiczenie pierwsze.

Dzisiejszy kącik gimnastyczny poświęcamy opisowi ćwiczeń uelastyczniających, będących niezbędnem i dla starych i młodych. Młodzi muszą przecież zabiegać o to, aby giętkość i elastyczność ciała zachować aż do późnej starości, ludzie starsi zaś — wolimy unikać określenia „starzy" — powinni przypomnieć sobie kilka programowych, bardzo zdrowych ruchów, aby odzyskać zaufanie w swoje fizyczne zdolności i temsamem odmłodzić się. Jakżeż często staje się tragedją rozdźwięk między duchem a ciałem, gdy duch jest młody i pełen polotu, a ciało sztywne, niezgrabne, nie wyćwiczone! Poprostu odczuwa się trud każdego kroku, a bieg staje się niemożliwością. Racjonalny trening, polegający na prawidłowej, celowej gimnastyce, przywróci nam samopoczucie i temsamem radość życia.

Dzisiejsze nasze ćwiczenia mają następujący przebieg:

Ćwiczenie I. Ustawiamy nogi w zasadniczej pozycji, wyprężamy kolana, ciało opuszczamy jak najniżej ku przodowi. W tej pozycji dotykamy palcy u nóg i przysiadamy kilkakrotnie, zginając dokładnie ze sprężynową elastycznością całe ciało ,aby każdy muskuł rytmicznie współpracował. W trakcie opisanego ćwiczenia odejmujemy palce od stóp i opieramy całą powierzchnię dłoni na posadzce, powtarzając kilkakrotnie wyginanie tułowia.

Gdy już odbyliśmy ćwiczenie 20 razy, stajemy prosto, potrząsając mocno nogami, względnie wykonując kilka ruchów wahadłowych.

Ćwiczenie II. Klękamy na podłodze, ramiona wyprężamy ku tyłowi (jak na rycinie 2). W tej pozycji usiłujemy wykonać ramionami coraz głębsze ruchy wahadłowe, aż doprowadzimy do wahnięć ponad głową. W trakcie ćwiczenia pochylamy głowę coraz niżej i wreszcie opieramy ją o podłogę. I to ćwiczenie powtarzamy 20 razy, poczem wstajemy i wykonujemy kilka silnych ruchów obrotowych lewą i prawą ręką.

Zapewniamy naszych Czytelników, że obydwa ćwiczenia są doskonałe i bardzo celowe, a odświeżenie całego organizmu daje się bezpośrednio odczuć, zwłaszcza, jeżeli po odbytej gimnastyce uelastyczniającej pamiętamy o gimnastyce oddechowej. Na pierwszy rzut oka ćwiczenia te wyglądają dosyć trudno, są jednak wcale dostępne nawet dla starszych, którym nie możemy polecać ani roweru, ani żadnych ćwiczeń nadających się tylko dla najmłodszych. Nawet w gimnastyce ma wiek swoje prawa.



Ćwiczenie drugie.

Dokończenie ze str. 10-tej.

nokciem. Częstuje wnuka. Obydwaj otaczają się niebieskawym dymkiem.

— Dobre, Staszku?

— Aha. Tylko muszę napisać jeszcze jedno podanie. Tak mi się nie chce...

— Nie warto. Szkoda znaczków...

— Co dziadziowi dzisiaj? Znaczków szkoda?

— Tak myślę, Staszku, bo i naco to?

— Nie można, staruszku kochany, tak myśleć. Widzę, że dziadzio dzisiaj odwrócił cały porządek naopak.

— He, he, he... ale egipskie dobre, co?

— Trzeba wstać.

Wnuk oderwał się od krzesła i zaczął spacerować po pokoju.

— Dziadzio nie wie, gdzie schowałem życiorysy? Miałem ich jeszcze kilka na zapas.

— Nie wem, Staszku. Zresztą nie przeszkadzaj mi. Zdrzemnę się źdźiebeczko... Aaa...

Dziadzio wtulił się wygodnie w staroświecki fotel, który wraz z kunsztownym gramofonem stanowił resztki wspaniałej świetności.

Zegar monotonnie tyka, wnuk przy stole rozkłada białe arkusze papieru, dziadzio przymyka oczy. Nie chce wcale zasnąć, o nie — tak tylko chwileczkę pomarzy.

Trzeba do samiuteńkiego dna wychylić kielich błogości. Niecodziennie trafiają się bajkowe kołacje i niecodzienności...

Dziadek powoli rozwiera powieki. Wnuk siedzi pochylony nad arkuszem, ale nie pisze. Obsadkę umieścił między zębami, a dłonią wodzi po czole. Myśli smyk. jakby tu najlepiej napisać. Z tych podań byłby już imponujący tom. Szczęść Boże w pracy!

Na chwilę dziadek zatapia się w nicości. Pochłania go absolutna, bezwzględna cisza. Żebyż to można na zawsze utrwalić ten moment!

Kiedy po raz drugi pan Proszowski wraca do rzeczywistości, oczom jego ukazuje się widok zgoła niezwykły. Wnuk złożył głowę na białym arkuszu i — śpi.

— He, he, he, — tłumi starzec śmiech i dźwiga się ze swego fotela.

Ostrożnie zagląda w arkusz. „Mój życiorys: Urodziłem się 20 września 1936 r.". — Czyżby? — dziwi się staruszek i nagle wpada na zabawny pomysł. Powoli na arkuszu dopisuje dwa słowa: „Ja też".

Potem wyciąga z kieszeni niebieską kopertę z nadrukiem: „Zwykła. Opłacona ryczałtem".

— Narodziliśmy się dzisiaj obydwaj! Niemowlęta!

Z koperty wyjmuje list. Rozkłada go. „Przyjmujemy Pana na praktykę z uposażeniem w wysokości 120 zł. miesięcznie". Nic dziadka nie obchodzi suchy, urzędowy wywód listu. To jedno zdanie posiada niezaprzeczoną wartość. Podkreślił je też czerwonym ołówkiem.

Kontrakt podsunął wnukowi pod sam nos. Na palcach zbliżył się do gramofonu. Wybrał marsz nr. 2 „weselny", który wnuka pobudzał do marzeń. Kręci korbką do dziewięciu, zmienia igłę, zwalnia sprężynę.

I nawespół z radosną falą dzwięków wypędza ciszę.

— Pobudka, pobudka! Wstawać. Ja tu trąbię pół godziny, a wy śpicie!

Wnuk zrywa się, osłupiałemi oczyma wodzi dokoła, a potem — prask w płytę. Gramofon jęknął, zabełkotał niewyraźnie i umilkł.

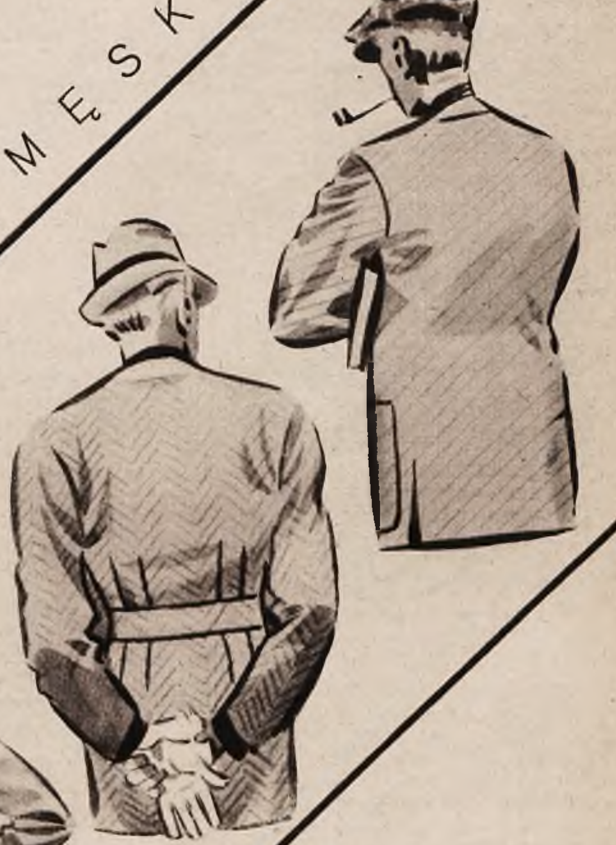
Lecz dziadek wciąż się jeszcze śmieje.

— To nic, Staszku, kupimy nową płytę — drżącą dłonią wskazuje na list — i zawsze będziemy mieli trzy marsze. Trzeba szanować tradycję.

Przymyka oczy, ale nie może zatopić się w ciszy. Przeszkadza mu płacz wnuka.



ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ







NA LEWO:
Oto kilka przykładów kroju pleców marynarki sportowej — z zastosowaniem dragonów, kontrafałdów i rozcięć w bocznych szwach.

Plecy marynarek SPORTOWYCH *mają znowu proste linje...*

Jeśli jeszcze nie tak dawno temu starano się wprowadzić do kroju marynarek sportowych jak najwięcej urozmaicenia i dążono do ożywienia zarówno pleców, jak i przodków przez najrozmaitszego rodzaju dodatki, np. nakładane kieszenie, patki, dragony, kontrafałdy itd. itd., a obecnie nagle przekreśla się ten cały kierunek i powraca do linji prostych, jak najskromniejszych — to może to u niejednego wywołać wrażenie, iż moda kieruje się zwykłym kaprysem i nagle — jak to i w innych dziedzinach życia historja nieraz notowała — odwraca się bez powodu od tego, co jeszcze wczoraj stanowiło jej ideał, co więcej: przepis, od którego nie było apelacji. Ale tak nie jest. Moda nie może sobie pozwolić na tak niekonsekwentne postępowanie, bo w przeciwnym razie utraciłaby cały swój autorytet wśród miljonów wiernych poddanych. Musi zważać, aby każdy jej nowy krok tłumaczyły okoliczności wywołane potrzebą chwili, koniecznością dostosowania się do nowych warunków życiowych, lub wkońcu narodzinami coraz to innych tematów w ornamentacji materjałów ubraniowych i ich rozlicznych akcesorjów. W ubraniach sportowych ten ostatni moment odegrał właśnie decydującą rolę. Wielu z nas pamięta marynarki z gabardyny, kortu, lub wkońcu gładkiego szewiotu. Sam rodzaj tych materjałów, bardzo jednostajnych, zmusił nas do ożywienia kroju. Potem wprowadzono do szewiotów desenie, początkowo bardzo drobne i te nie zmieniły jeszcze żywszych tendencyj kroju (fish-gret). Wreszcie przyszły homes-spuny w duże kraty i ostatnio tak modne szachownice, a z niemi powstał problem, jak pogodzić ten rodzaj deseniu z doniedawna obowiązującym w marynarkach sportowych żywym stylem. Musiano się z nim pożegnać, by ratować harmonję nowego modelu i zdecydowano się na linje całkiem proste. **BRUMMEL.**

POZNAJ SAMA SIEBIE!

ANKIETA

Bardzo ważną jest rzeczą wiedzieć, jaką się właściwie jest. Może poniższe pytania dopomogą naszym Czytelniczkom w zorjentowaniu się w samej sobie. Wyobraźmy sobie sześć sytuacyj i na każdą z nich sześć różnych reakcyj. Może Czytelniczki nasze zapiszą sobie na karteczce papieru numer przy każdorazowej sytuacji, stwierdzają, że właśnie tak a nie inaczej postąpiłyby, gdyby w ich życiu zaszła analogiczna okoliczność. Z zestawienia owych numerów dowiedzą się o tem, jakiemi są, na podstawie rozwiązania, zamieszczonego na stronie 31.



MĄŻ TRACI POSADĘ!

1. Pani mówi: Cieszę się, że nie będziesz pracował dłużej w tej wstętnej budzie — niewątpliwie znajdziesz coś lepszego.
2. Pani zalewa się łzami i mąż musi panią pocieszać.
3. Idzie pani do spiżarki, ażeby przechować do jutra pieczeń cielęcą, przygotowaną na dziesiejszy obiad.
4. Pani mówi: To wszystko nie byłoby nastąpiło, gdybyś słuchał moich rad.
5. Organizuje pani plan batalji i z książką telefoniczną w ręku zasięga pani rady wszystkich przyjaciół.
6. Tonie pani w marzeniach, jak przyjemnie byłoby udać się na Tahiti, gdzie można żyć za bezcen, zrywając korę z drzewa chlebowego.



NARZECZONY ZWRACA SŁOWO.

1. Pani myśli: Stracić jednego, to znaczy znaleźć dziesięciu.
2. Bierze środki nasenne w wielkich ilościach.
3. Zasięga rady, czy koniecznie trzeba zwrócić narzeczonemu preezenty.
4. Wskutek dotkliwego zranienia miłości własnej, zachęca pani pierwszego lepszego do zbliżenia.
5. Odmówiwszy poprzednio udziału w uroczystościach weselnych kuzynki, wyraża pani obecnie zgodę uczestniczenia w nich dowiedziawszy się, że przydzielą pani jako drużbę dystyngowanego inżyniera.
6. Przestaje wierzyć w miłość i marzy pani o szczęściu z nieznanym aż do końca życia.

*

ZAPROSZONY MYLI SIĘ W DACIE I PRZYBYWA NIEOCZEKIWANY.

1. Pani mówi: Doskonale, pójdziemy do restauracj, bo to będzie zabawniejsze.
2. Jest pani tak zadowolona na widok sympatycznego znajomego, że nie dostrzega pani różnych niedogodności, jakie wywołało jego niespodziewane przyjście.
3. Myśli pani: „Trzeba będzie czynić różne uprzejmości, a niewiadomo, co podać do jedzenia.
4. Udając przed gościem oczarowaną jego przyjściem, czyni pani na boku gwałtowną scenę mężowi, twierdząc, że on jest winnym nieporozumienia co do daty zaproszenia.
5. Z niczego improwizuje pani czarujący obiad.
6. Snuje pani cały romans na tle tego zdarzenia, przypominając sobie znane powiedzenie, że zakochani zapominają o umówionych terminach.



MĄŻ WYJEŻDŻA W PODRÓŻ.

1. Pani myśli już o radości powitania.
2. We łzach wracając z dworca, zasiada pani odrazu do pisania listu do męża.
3. Przeprowadza się pani do matki.
4. Myśli pani: Nareszcie będę miała łazienkę tylko dla siebie.
5. Korzysta z jego nieobecności, by uporządkować mieszkanie, wywracając wszystko do góry nogami, a głównie jego gabinet i bada pani dokładnie zawartość szuflad w biurku męża.
6. Pochylona nad mapą, czyni pani szalone przypuszczenia, co do możliwości wypadków, jakie w podróży mogą spotkać męża.





WYGRYWA PANI NA LOTERJI.

1. Zaciąga pani długi.
2. Myśli pani: Szkoda, teraz nie ośmieli mi się oświadczyć.
3. Mówi pani mniej, niż zazwyczaj i zaczyna obawiać się przyjaciół.
4. Zazdrości pani temu, który wygrał miljon.
5. Kupuje sobie pani trochę słodyczy i lokuje pieniądze w ten sposób, by mieć zabezpieczoną starość.
6. Po wyperswadowaniu sobie kupna awionetki lub jachtu i planu podróży dookoła świata, kupuje pani stary dom rodzinny nad brzegiem małej rzeczki.



PO LATACH SAMOTNOŚCI OŚWIADCZONO SIĘ PANI.

1. Myśli pani: To rzecz zdumiewająca, jak bardzo dystyngowanym czyni lekka łysina!
2. Już mu pani życzy, by zachorował, ażeby mieć szczęście być przez nią pielęgnowanym.
3. Zasięga pani porad w sprawie kontraktu ślubnego.
4. Mówi pani swej oddanej przyjaciółce, że nie jest ona już na tyle młoda, by być druhną.
5. Zapytuje pani narzeczonego, czy sypia przy otwartem oknie i czy lubi dzieci.
6. Rzeczywistość wydaje się pani tak odmienną od marzeń, że waha się, czy podać szczęściu rękę.

KRÓLOWA BALU



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZIMNE SOSY DO MIĘS. (Na życzenie Czytelniczki). **SOS CUMBERLAND** sporządzony być może w dwojaki sposób: na zimno lug gotowany i następnie ostudzony. Pierwszy sposób praktykowany bywa przy śniadaniach kawalerskich, myśliwskich itp. Jest bardzo łatwy do wykonania, a mianowicie: 3 łyżki galaretki porzeczkowej, łyżkę francuskiej musztardy, 1/8 litra wina czerwonego, sok z 1 pomarańczy i połówki cytryny. Wszystko dobrze wymieszać i sos gotowy. Używany bywa do wszelkiego rodzaju dziczyzny. Drugi sposób również do tego celu używany jest trudniejszy w wykonaniu. Najpierw uciera się na tarle sporą cebulę, zalewa wrzącą wodą i odcedza. Cebulę miesza się z kilku łyżkami kwaśnej galaretki owocowej (w ostateczności mogą być brusznice, przetarte przez sito) i łyżeczką musztardy. Następnie dodaje się po szczypcie: soli, papryki i imbiru, troszkę startej skórki cytrynowej i sok z całej pomarańczy i połówki cytryny. Mieszaninę tę zalewa się szklanką madery, zagotowuje i podprawia łyżeczką mąki ziemniaczanej, rozkłuconej w troszce wody. Zatowany wśród ciągłego mieszania sos, ostudza się przed podaniem.

SOS REMULADOWY sporządza się z zwykłego sosu majonezowego, do którego dodaje się łyżeczkę musztardy, posiekane drobno twarde jaja, kopru siekanego, zielonej pietruszki i szczypiorku. Chcąc sos zaostrzyć, dodać można siekanych pikli lub zwykłego korniszona.

SOK CYTRYNOWY LUB POMARAŃCZOWY. (Na życzenie Czytelniczki). Obydwa te rodzaje soków sporządza się w identyczny sposób: 1 kg cukru porąbanego w małe kawałki ociera się o skórkę cytryn wzgl. pomarańcz aż nabierze żółtego koloru. Cukier ten dajej się do słoja, który się przykrywa podwójnie złożoną serwetą i przesącza przez nią wyciskany na szklanej maszynce sok z 30—40 cytryn, wzgl. z połowy tej ilości pomarańcz. Słój z cukrem odstawia się na kilka dni, mieszając od czasu do czasu płyn srebrną łyżką. Po zupełnem rozpuszczeniu się cukru, zagotowuje się sok na ostrym ogniu, odstawia i zbiera dokładnie piany. Przestudzony sok wlewa się do absolutnie czystych, małych flaszek, korkuje i sterylizuje sposobem Wecka na parze przez 20 minut, licząc od chwili zagotowania. Zwykle trzyma się taki sok dobrze i bez sterylizowania, którego się używa jedynie dla zupełnej pewności.

KONFITURA POMARAŃCZOWA. Skórki obrane z 5-ciu dużych pomarańcz gotuje się w kilku wodach do miękości, poczem wyjmuje się je z wody i osącza na serwecie. Ostrym nożykiem zdejmujej się ze skórek cieńką, żółtą skórkę i kraje ją w drobny makaronik. Odłożone pomarańcze, obrane dokładnie z białej skórki i pestek, kraje się w kostkę, miesza z pokrajaną żółtą skórką, zalewa litrem wody i gotuje przez 2 godziny, poczem dosypuje się 1 kg cukru i gotuje dalsze 20 minut, dokładnie szumując. Wkońcu wciska się sok z 2 cytryn, gotuje 10—15 minut i składa gorącą konfiturę do słoja. Dla amatorów gorzkawych konfitur wiąże się w kawałek płótna odrzucane zazwyczaj skrzętnie pestki pomarańcz i gotuje wraz z pomarańczą przed dosypaniem cukru przez kilka minut, poczem się pestki odrzuca.

OSTRYGI IMITOWANE (PRZYSTAWKA). Móżdżek cielęcy i parę mleczek karpia lub szczupaka parzy się wrzącą wodą i oczyszcza z błon i żyłek. Z 8 dkg masła i tyleż mąki sporządza się zasmażkę, zalewa rosołem, zagotowuje, dodaje przygotowany pokrajany móżdżek i mleczka i dusi pod pokrywą przez 20 minut. Sos powinien być dobrze gęsty. W międzyczasie rozciera się dwie oczyszczone z ości sardelki z 5 dkg masła. Masłem sardelowem naciera się muszelki, nakłada na każdą trochę przygotowanego ragout, kropi cytryną, posypuje bułeczką i kawałeczkami masła sardelowego, ustawia muszelki na blasze i wstawia na 15 minut do gorącego piecyka. Podaje się na serwecie, zwijanej zgrabnie na półmisku lub tacy, wokoło muszelek.

MARCZEWKA KAROTKA NA SPOSÓB HOLENDERSKI. Dobrze oczyszczoną i wymytą karotkę kraje się w cienkie paski i dusi z troszką wody, soli i białego pieprzu. Niezupełnie jeszcze doduszoną jarzynę podprawia się jasną zasmażką z łyżki masła i mąki oraz małym kieliszkiem białego wina. Marchewkę dusi się dalej do zupełnej miękości i wydaje jako danie dla siebie z grzankami lub jako dodatek do kotletów cielęcych lub baranich.

Z RECEPT BABUNI: LEGUMINA Z MAKARONU. Z 2 jaj, łyżeczki masła, łyżki wody i odpowiedniej ilości mąki zagniata się tęgie ciasto, które należy jaknajcieniej pokrajać w drobniutki makaronik, tj. w długie a cienkie nitki. W ...delku, natartym masłem, układa się makaron warstwami, przesypując go suchemi konfiturami, tłuczonemi orzechami lub migdałami i rodzynkami z cukrem i cynamonem, przyczem należy każdą warstwę suto kropić masłem. Po napełnieniu rondelka zalewa się makaron szklanką gorącej śmietanki i wstawia leguminę do gorącego piecyka na godzinę, tj. na tak długo. aż cała śmietanka zniknie a legumina ładnie się zrumieni.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



a) Sagan elektryczny spełniać może w gospodarstwie domowem podwójną rolę: Ustawiony na nim odpowiedni rondelek służy do zagotowania wody, równocześnie jednak uzyskuje się temperaturę, przy której można ugotować nawet lekką kolację. Kontakt elektryczny jest urządzony w ten sposób, że w razie wygotowania się wody wyłącza się on automatycznie.

*



b) W domach o większej ilości stołowników dużo kłopotu sprawia odcedzanie kluseczek, makaronu, pierożków itd. przy pomocy „durszlaku". Daleko lepiej spełnia tę rolę obok widoczne aluminjowe naczynie, w którem można odrazu odcedzić większą ilość gotowanych na wodzie potraw, przyczem „durszlak" aluminjowy jest znacznie trwalszy od emaljowanego.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 10

Luty

28 dni



NIEDZIELA 27 Anastazji	Zupa perłowa na podróbkach. Imitowane ostrygi. Perliczka z rożna z kompotem mieszanym. Tort pomarańczowy. Kolacja: Ozór wołowy na zimno z sałatą jarzynową.
PONIEDZ. 28 Romana Wyzn.	Pomidorówka czysta z ryżem. Faszerowane jaja w sosie śmietanowym. Filety z polędwicy à la Nelson. Suflet owocowy. Kolacja: Flaczki z parmezanem.
	Marzec
WTOREK 1 Albina	Kapuśniaczek z kiełbasą. Budyń jarzynowy. Pieczeń nerkowa z tarhonią i marchewką. Legomina z makaronu. Kol.: Pieczeń sarnia z sosem remuladowym.
ŚRODA 2 Heleny. † Pop.	Barszcz na grzybach z fasolką. Naleśniki z kaszką krakowską. Szczupak morski z sosem holenderskim. Kompot mieszany. Kolacja: Bukiet jarzynowy.
CZWARTEK 3 Kunegundy p.	Zupa grochowa z grzankami. Smażona kiełbasa. Zraziki cielęce w papryce z francuskiemi kluseczkami. Suszone śliwki w cieście. Kolacja: Szpinak z sadzonemi jajami.
PIĄTEK 4 Kazimierza kr.	Zupa jarzynowa puree z smażonym grzybkiem. Strudel z kaszą tatarczaną. Pieczony karp lub łosoś morski z tartemi ziemniaczkami. Kisiel żurawinowy Kolacja: Marynowany śledź - ziemniaczki w mundurkach.
SOBOTA 5 Fryderyka	Rosół z kaszką. Sztuka mięsa. z ćwikłą. Pieczeń wieprzowa z kapustą. Galaretka pomarańczowa w koszyczkach. Kolacja: Parówki w sosie pom.



HOCKI-KLOCKI

MODA W AFRYCE.



— Czyż nie rozumiesz, Bimbo, że nie możesz dłużej chodzić w tej sukni?...
(Brummbär)

Rozwiązania z Nru 8-go.

PIŁKA.

19,84 cm.

KAPITAŁ PANA KANARKA.

Kapitał pana Kanarka wynosił 113.906 zł 25 gr.

LUSTRO.

W lustrzo o wysokości równej połowie wysokości tego człowieka, a więc=80 cm.

TAJEMNICZY SZNUR.

Z tego, że skazaniec „podzielił sznur na pół", nie wynika, że rozdział go na dwie części, każda równa połowie pierwotnej długości sznura. Niewątpliwie rozkręcił sznur, otrzymując dwa cieńsze sznurki, o długości grubego sznura i z tego po związaniu tych dwóch kawałków otrzymał sznur dwukrotnie dłuższy, lecz też dwukrotnie cieńszy od poprzedniego.

MUZYKANCI.

Jeden chłopiec przeprawia się z kataryńką na drugą stronę rzeki i wraca sam. Dwóch chłopców przeprawia się na drugi brzeg — jeden z nich zostaje, drugi wraca. Teraz matka je dzie sama — pozostaje na brzegu, a chłopiec przewozi łódź z powrotem. Znowu dwóch chłopców jedzie — jeden zostaje, drugi wraca. Teraz ojciec samotnie przeprawia się, a chłopiec jedzie z powrotem. Następnie jedzie dwóch chłopców — syn pozostaje, a przewoźnik wraca łodzią na brzeg.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PODZIAŁ MLEKA.

Pan Wróbel miał pełny ośmiolitrowy garnek mleka, które musiał podzielić na dwie równe części, nie miał jednak żadnego mniejszego naczynia odpowiedniej wielkości, któremby można mleko odmierzyć, gdyż na półce stały tylko dzbanki pięcio i półtoralitrowy.

Po namyśle jednak pan Wróbel uznał, że przelanie czterech litrów do średniego jakiemiś innemi naczyniami i wykonał to — dzbanka jest możliwe bez posługiwania się z matematyczną ścisłością. Jak on to zrobił?

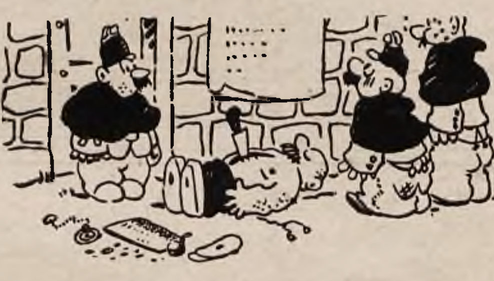
DOCHODY PANA WRÓBLA.

Pan Wróbel zarobił na pewnej tranzakcji ABA zł. Z sumy tej zwrócił dług w wysokości CBA zł., wobec czego pozostało mu się jeszcze BDD zł. Z tego odłożył na książeczkę P. K. O. — AA zł., wydał na kupno książek CA zł. — i został się bez pieniędzy. Ile zarobił pan Wróbel?

ZAKUP JABŁEK.

Pewien pan zapłacił 2.40 zł. za kilkanaście jabłek, lecz były one tak małe, że poprosił przekupkę o dodanie dwóch jabłek „ekstra". Teraz okazało się, że jabłka wypadły na tuzinie o 20 gr. taniej od ceny poprzedniej. Ile jabłek kupił ów pan za 2.40 zł.?

WYPADEK GRANICZNY.



— To ty go zabiłeś?
— Nie, przeszukałem go tylko. był połykaczem mieczy! (Ric et Rac)

ARCHITEKTURA.



— Stawiając ten dom, musiał budowniczy zapewne przeczuwać, że hipoteka jego zostanie bardzo obciążona. („Fliegende Blätter")

BOGATY WUJ.

„Zajmuję się wychowaniem swych siostrzeńców", rzekł mój bogaty znajomy, pan Czek, „i co rok muszę na nich wydawać więcej. Naprzykład tego roku wydałem o 50% więcej niż pięć lat temu".

„Jakże to możliwe?" spytałem.

„A bo widzi pan, — odrzekł bogacz — co rok biorę kwadraty lat (bez miesięcy) obu chłopców. Następnie znajduję różnicę tych dwóch kwadratów i cyfra ta odpowiada ilości złotych, które w danym roku wydaję na naukę mych siostrzeńców".

„Ile lat mają chłopcy?".

„Wacek ma dziewiętnaście. A lata Bolka łatwo pan może sam obliczyć".

Ile lat ma Bolek?

CYFRY.

Proponujemy czytelnikom tak ułożyć cyfry 1, 2, 3, 4 i 5, aby przy pomocy prostych działań matematycznych otrzymać wyniki: 111, 222, 333 i 999?

Dokończenie ze str. 2-ej.

Pan Sebastjan opowiedział jednemu reporterowi o swej „współpracy" z genjalnym kopistą-malarzem Chaudron, który między innemi wykonał aż 6 kopij Mony Lizy i to tak łudzących, że nie dawały się odróżnić między sobą. Kopje te były robione właśnie w czasie, gdy Mona Liza była „nieobecną" w Louvrze. Z tonu jego wynurzeń można śmiało przypuszczać, że oryginał Leonarda nie wisi w Louvrze, lecz u jakiegoś zbieracza południowo-amerykańskiego.

Oryginalna czy nie, Mona Liza dla każdego widza zostaje zawsze zagadką Ewy.

Na zakończenie: skąd powstała dziurka w klapie męskiego ubrania? Zawdzięczamy ją nie byle komu, bo królowej Wiktorji. Gdy przyjmowała ks. Alberta, dała mu raz bukiet. Książę, przejęty tym podarkiem, scyzorykiem zrobił sobie otwór w klapie i włożył w nią różę — oczywiście po lewej stronie, strona serca!

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ROZWIĄZANIE ANKIETY ZE STR. 28-ej.

A oto do jakich rodzajów charakteru odnoszą się odpowiednie punkty:

1 = optymizm.
2 = sentymentalizm.
3 = przezorność.
4 = zły charakter, a nawet złośliwość.
5 = zmysł praktyczny.
6 = romantyczność.

Dokończenie ze str. 8-ej.

moich kuzynów i czterech kolegów, wszystkich z czerwonymi goździkami w klapach...

W telefonie dźwięczy miły śmiech artystki. Słucham go chciwie, nie przerywając. Muszę jednak rozmowę sprowadzić na sprawy teatralne. Zapytuję:

— Czem pani pragnęłaby być na naszem cenzurowanem? Czy czemś, co przypominałoby pani czasy radjowe, czy też obecne, teatralne?

— I tu i tu byłam zawsze na bardzo ostrem cenzurowanem! Oczywiście scena jest stokroć więcej cenzurowana! Sam występ jest już cenzurowanym, a potem jeszcze trzeba czytać tyle recenzyj! Co zaś do dalszej zabawy w cenzurowanego, chciałabym uniknąć złośliwej oceny, żeby w ten sposób uniknąć złośliwości innych! Powtarzam moją prośbę z początku naszej rozmowy. Niech pan sam coś wybierze. Dobrze?

— Dobrze...

A jednak... gdy zasiadłem do maszyny do pisania, by zanotować treść rozmowy, niestety nic złośliwego na myśl mi nie przyszło. Zbyt żywo pamiętam pannę Irenę z jej przemiłej, doskonałej roli chłopca — Cherubinka z „Wesela Figara", gdzie artystka była uosobieniem łagodności i dobroci.

Zbyt żywo brzmią mi w uszach słowa panny Ireny, słyszane przed chwilą w telefonie, a wypowiedziane głosem, w którym naprawdę... zakochać się można do szaleństwa.

Zresztą nieszkodliwego szaleństwa. Na odległość dwóch telefonów...

Romit.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„PIĘKNE CZASY" ROGER MARTIN DU GARD'A. Powieść ta jest trzecią częścią wielkiego cyklu najnowszego laureata Nagrody Nobla, Roger Martin du Gard'a: Les Thibaults (Thibaultowie). Maluje ona przedwojenne dzieje rodu Thibaultsów. Dwa poprzednie tomy: „Szary zeszyt" i „Pokusa", ukazały się już dawniej. Autor daje przekrój całej warstwy społecznej, główny nacisk kładąc w „Pięknych czasach" na przeżycia dwóch synów Thibaults...

„LUDZIE EPOKI WIKTORJI" L. STRACHEY'A. Poprzednio wydane w przekładzie polskim opowieści biograficzne o Królowej Wiktorji i Elżbiecie i Lordzie Essex malowały postacie bardzo reprezentacyjne dla ich epoki. Tom obecnie wydany przynosi życiorysy postaci drugoplanowych, które jednak zaważyły na obrazie epoki: Florence Nightingale, twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa i gen. Gordona, gubernatora Sudanu podczas powstania Arabów...

„OLAF SYN AUDUNA" SYGRYDY UNDSET. Ten tom tetralogji Sygrydy Undset, to dalszy etap rozterki i zmagań Olafa z nieubłaganym losem. Rysuje się jego postać na tle średniowiecza. Na poczynaniach Olafa ciąży utajony grzech młodości, który padnie kamieniem pod nogi jego dzieci. Olaf wyruszy na wyprawę wojenną, wróci z niej zeszpecony, przytłoczony cierpieniem, lecz pokorniejszy i bliższy Bogu.

„ZIEMIA W MALIGNIE" BRUNO WINAWERA. Nowy tom felietonów tego autora przynosi echa zagadnień, nurtujących współczesność. Szczególną uwagę zwraca autor na zdobycze naukowe, przyczem umie mówić o nich żywo i lekko. — Kto „zaczął" cywilizację? Co po nas zostanie? Jak „gruczoły" wpływają na wydarzenia historyczne? Sprawy telewizji, robotów, maszyn w dzisiejszem społeczeństwie — oto parę rozdziałów „Ziemi w malignie".

„WSPOMNIENIA WOJENNE" LLOYD GEORGE'A. Tom II polskiego przekładu „Wspomnień wojennych" Lloyd George'a obejmuje okres tragicznych zmagań w roku 1917, kiedy to wojska koalicyjne napróżno usiłowały sforsować linję obronną pozycyj niemieckich. Obydwie strony krwawiły się pod Verdun, we Flandrji, nad rzeką Aisne, pod Passchendaele, pod Cambrai... Koalicja zacieśniała blokadę gospodarczą Niemiec a Niemcy coraz większe szerzyli spustoszenie łodziami podwodnemi.

Lloyd George był w tym okresie premjerem gabinetu brytyjskiego. Charakteryzuje on rolę odegraną przez gen. Joffre'a, mówi o niepowodzeniu planu gen. Nivelle'a, zakończonem rozprzężeniem w armji francuskiej, o przewrocie w Rosji.

Lloyd George nie występuje jako beznamiętny historyk, chłodny kronikarz wyniosłych wydarzeń. Przeciwnie raz po raz występuje z oskarżeniami i zarzutami pod adresem kilku polityków i generałów angielskich i francuskich, wytykając im niedociągnięcia, polemizuje z ich stanowiskiem.

Dzięki temu bojowemu tonowi „Wspomnienia" wywołały niemałe poruszenie i oburzenie. Dla szerokich kół czytelników ciekawe są kulisy zmagań wojennych. — Narady sztabów, zagadnienia strategji morskiej i lądowej, wreszcie skomplikowana akcja dyplomatyczna — oto pasjonujące tło pamiętników angielskiego premjera

J.

NA SCENIE.

BIELSKO. Sekcja dramatyczna Towarzystwa Teatru Polskiego w Bielsku wystawia z wielkiem powodzeniem w Teatrze Miejskim komedję Nicodemiego **Scampolo** w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza, z Marją Zelinczanką i Mieczysławem Radomskim w rolach głównych.

WARSZAWA. Teatr Polski wystawił komedję F. Schöntana według powieści Dickensa pt. **„Mała Dorrit".** Reżyserował E. Wierciński. W roli tytułowej — Elżbieta Barszczewska roztoczyła dużo wdzięku. Groteskowy typ starego Dorrita stworzył M. Maszyński. Pozatem należy wyróżnić pp. Z. Grabowską (Lady Sparkler), J. Wilczówną (Fanny Dorrit), J. Kreczmara i J. Ziejewskiego.

W Teatrze Nowym wystąpiła Stanisława Wysocka w sztuce angielskiego autora Mazo de la Roche **„Miła rodzinka"**, dając mocną kreację jako 100-letnia lady Adelina Whiteoaks. Po „Sprawach rodzinnych, granych w obecnym sezonie w Krakowie, jest to druga sztuka, w której znakomita tragiczka gra rolę kobiecej głowy rodu.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 27 lutego.

9.00 Transm. nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
12.03 Poranek symfoniczny z Katowic.
13.10 „Uleczony samobójca" — humoreska.
13.25 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
14.40 Przedstawiamy speakerów — audycja Wielkiego Konkursu Zimowego.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego potrochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Recital fortepianowy Henryka Sztompki.
16.25 Utwory włoskie w wyk. Walerji Jędrzejowskiej.
17.00 „Bawmy się wesoło" — podwieczorek tanecz. dla dzieci.
19.00 Teatr Wyobraźni: „Patent", premjera komedji L. Pirandel.
19.25 Znane orkiestry świata grają do tańca... (płyty).
21.00 Transm. skoków narciarskich mistrz. świata w Lahti).
21.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 28 lutego.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztato: Przed objektywem fotografa".
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Orkiestra mandolinistów im. Moniuszki z Rozdzienia.
17.15 Muzyka kameralna.
18.10 Lekkie duety wokalne — płyty.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Dyskutujmy: „Kompromis w życiu" (dialog z sumieniem).
20.00 Historja tańca (III audycja): „Ewolucja walca".
21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. Zapowiadają speakerzy, biorący udział w Wielkim Zimowym Konkursie Radjowym.
22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R.

Wtorek, 1 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Eric Coates: Cztery drogi — suita — koncert z płyt.
12.03 Audycja południowa.
15.45 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci.
16.15 Aud. muzyczno-słowna z Poznania.
17.00 „Podziemne Tatry" — pogadanka.
17.15 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej.
17.50 Ginące rasy naszych zwierząt domowych — pogadanka.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Z teki Chochlika" — wieczór fraszek.
19.30 Polska twórczość chóralna (IX audycja).
20.05 XXXI audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich".
21.00 Wieczornica taneczna.

Środa, 2 marca.

12.03 Audycja południowa.
15.45 Chwilka pytań — audycja dla dzieci starszych.
16.15 Muzyka rozrywkowa w konaniu Orkiestry Tade Seredyńskiego.
17.00 KOP śladami zagoń (część II) — odczyt.
17.50 Nasze serce i płuca danka.
18.10 Pieśni chóralne — płyty.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Grzech" — scena z powieści Sygrydy Undset.
19.20 Kilka polskich pieśni w wykonaniu Ady Witowskiej-Kamińskiej.
20.00 Utwory wokalne w transkrypcji na instrumenty solowe.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zofji Rabcewiczowej.
21.45 Dialog prof. Manfreda Kridla i Teodora Bujnickiego.
22.00 Wieczorne nastroje — wyk. Orkiestra Adama Hermana.

Czwartek, 3 marca.

11.15 „Wileńszczyzna w tańcu i pieśni" — poranek muz.
11.40 Fragmenty z symfonji — płyty.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Wędrówki muz audycja dla mł
16.15 Utwory charakte mezza — wyk. Or
17.00 Wylęgarnie ryb rzu — koncert.
18.25 Audycja dla mło skiej.
19.00 Klasyczny Teatr „Powrót Odysse
19.35 „Minjatury kam wyk. Trio Salonowe.
20.05 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne z lutego.
21.45 „Epopea powstania styczniowego" — szkic literacki.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek, 4 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Duety z oper włoskich — płyty.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Pięć wróbli w jednem pudle", opowiadanie dla dzieci.
16.15 Koncert rozrywkowy z Łodzi.
17.00 Urszulanki na Polesiu — pogadanka.
17.15 „Szlakiem rozśpiewanej włóczęgi" (piosenki amerykańskiego trampa) — audycja muzyczno-słowna.
18.10 A. Mossager: Dw (Les deux pigeons
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Theatrum Sancti audycja z Wilna.
19.30 Piosenki w wyk Poznańskiej".

Sobota, 5 marca.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Gra Carlo Żecchi (fortepian), płyty.
12.03 Audycja południowa.
15.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Baśń o siedmiu krukach".
16.15 Eugène Samuel Holeman: „Dziewczyna w oknie" — koncert.
17.00 Transm. nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.15 Piosenki w wyk. Mieczysława Fogga (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 „Wkółko Macieju" — skecz Wilhelma Raorta.
22.00 Koncert popularny Orkiestry Wileńskiej.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. - PRINTED IN POLAND.